

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JANUSZ ANDERMAN

BRAK TCHU

opowiadania

Tower Press 2000
Copyright by Janusz Anderman

Kraj obraz

... Ten kraj blaknie na mapach, jest coraz mocniej zetlały; zacierają się kontury granic, miękną, rozłazą się na wszystkie trzy strony tego świata i już nie można ich wyczuć czułymi końcami palców; jego miasto rozsypało się i daje się odnaleźć tylko w zmatowiałych okrucach pamięci.

Ulice kończą się niespodziewanie kordonami, drzewo, mimo ogłoszenia wiosny, jest suche, bez łez liści, dom przy Przechodniej opustoszał.

Adresy w notesie mętnieją albo się wykruszają, życie, zgodne z regułą, wre jeszcze za wysokimi murami więzień; tylko tam trwa nadzieja.

Kolczaste powietrze rani płuca, ludzie zapomnieli o przyszłości, a ich świat ma krótki żywot ścieków taśmy filmowej, notatek, pogrążonych w rozsypanych karteczkach.

Miasto straciło oddech i ta kobieta w poszarzałym kitlu; na głównej ulicy wysiada z czarnej wołgi, rozgląda się rozpaczliwie i już nie pamięta, gdzie miała dostarczyć talerz zupy, który trzyma na plastikowej tacy...

– Co innego w cywilizacji, co innego u nasz – krzyczy żołnierz i wymownie poprawia pistolet maszynowy...

Kopanie studni

Stałem przy kołowrocie. Nogami mocno zaparty. Lewa noga wysunięta do tyłu i wryta w kępę wyschniętej trawy, a prawa zgięta w kolanie i swobodniejsza. Tak, że nie do niej należało utrzymywanie ciężaru ciała. Ta druga odrabiała całą robotę bez szemrania.

Patrzyłem przed siebie; najbliżej były warkoczyki żył, występujące na grzbietach dłoni. Rozgałęzione we wszystkich kierunkach, miłosnym gestem oplatały całą rękę i niknęły dopiero przy palcach – chowały się głębiej. Były na dowód ważności rąk, na ich potwierdzenie; pod cienką tkaniną skóry pulsowało i poruszało się niespokojnie, a na kostkach występowały z wysiłku jasne plamy. Ręce były zmęczone – palce, nadgarstki, ramiona; obie czuły pracę dzisiejszego dnia, a także minionych. Dobrze pamiętały każdą minutę.

Dalej płonęła w upale łąka; sucha trawa falowała bez powiewu wiatru, jak języki zielonkawego ognia.

... no więc jak mi założyli tę maskę na twarz, to już nic nie mogłam powiedzieć, no bo twarz zasłoniętą miałam, ale tylko głową pokazałam, że się duszę, jak mi powiedzieli, żebym głęboko oddychała, to ja czuję, że się duszę, głową pokazałam i nic nie pamiętam; nagle mnie budzą, to ja się dziwię, że usnąć nie mogłam, czy jak, nie?, a to po operacji było; nie wiedziałam, kiedy usnęłam nawet, bo jak mi założyli tę maskę na twarz, to już nic nie mogłam powiedzieć, no bo twarz zasłoniętą miałam, ale tylko głową pokazałam, że się duszę, jak mi powiedzieli, żebym głęboko oddychała, to ja czuję, że się duszę, głową pokazałam i nic nie pamiętam; więc jak się budzę...

– Ci... ciąg, kurna – usłyszałem jak spod ziemi. Zacisnąłem mocniej palce na ciepłym żelazie korby.

– Leje się, kurna! – Zakręciłem wolniej, bardziej miarodajnie. Ponad ostatni krąg wypłynęło blaszane wiaderko, naładowane piachem. Trzymając korbę prawą dłonią, wychyliłem się w lewo i ująłem kabłąk. Potem zwolniłem uchwyt i odciągnąłem wiadro w kierunku kopca. Tam wysypałem ładunek; piach był wilgotny, a na dnie kubła zebrała się kałuża mętnej wody.

– Leje się, kurna, na mnie. Trzeba będzie worek indyjski zastosować – z ciemności dochodziło szuranie i chrobot. Potem ukazał się on. Opierał się plecami i nogami o kręgi i wijąc się jak robak, unosił się ku górze, ku upalnemu światłu.

– Spadnie pan kiedy, panie Oblęgorek – odezwałem się.

– Jakbym chciał spadać, to bym się sto razy zabił. Co ja, głupi, żeby spadać? Trzeba będzie worek indyjski zastosować, bo mi błoto na łeb lejesz.

– Przepraszam.

– Przepraszam, przepraszam. Jak my budowali kiedyś ze szwagrem Wysockim drogę, to też takie przepraszanie było. Panowanie. Pięciu nas było i tak – proszę pana, dziękuje panu, a jak który wyciągnął sporty, żeby zapalić, to może pan skosztuje, a nie, może pan mojego skosztuje. No i tak rozbijamy kamień, bo był za gruby, a tu jeden zamiast w kamień, to młotkiem szwagra Wysockiego w paluch, a on patrzaj gdzie bijesz, skurwesynu i skończyło się panowanie. Co będziesz przepraszał, tu trzeba worek indyjski zastosować.

Usiadł na kopczyku świeżego piachu, nowo wydobytego z wnętrza gorącej ziemi, ściągnął buty i wyzymał onuce. Saperkę studniarską na krótkim stylisku odłożył na trawie, żeby przeschła.

– Studniarki nigdy nie zostawiaj na dole. Bo, tego, rdza schwyci. A but, to jest but. W bucie nie ruszy. Nie to, co gołe ręce. Raz ciąłem sieczkę i wsadziłem palec. Ciach i nie ma. Wołam babe, co jej ciąłem te sieczkę, mówie, zobacz, czy tam gdzie nie ma w sieczce tego palca. Ano jest, mówi. Przyłożyłem go, obwiązałem szmatą i myślę, będzie, to będzie, nie będzie, to nie będzie. A ból! Rano do lekarki, odwiązała, ogląda i mówi, no dobra, będzie, to będzie, a nie będzie, to nie będzie. Jeszcze posmarowała takim żółtym. I jest. Ten palec. Trochę się tylko źle zgina, ale stół jeszcze podniosę. No i w sam raz do studniarki. Bo ja i tak sie, kurna, na studniarza urodziłem. Specjalnie nie urosłem.

... czerwona wokalistka śpiewa paryskie tango, ciżba porusza się miarowo i groźnie; kobieta w białej czapce z pomponem; spływają spod niej strużki potu, elastyczne spodnie opinają zad; maleńki mężczyzna w czerwonej koszuli z koronki wtula twarz między piersi kobiety i sunie przy niej, trzymany za baki...

Siedziałem oparty o cembrowinę, bo dawała trochę cienia i chłodu plecom. Ale mało go było i nóg już nie piastował. Krótko siedzieliśmy i cień się jeszcze nie poruszył.

– Panie Oblęgorek, ta studnia, to może być zegar słoneczny.

– Że jak?

– Tylko by trzeba kręgi krzywo spuszczać. Pod kątem.

– Studnia krzywa? Ty chyba tak z tej gorączki dziś pieprzysz. Bierzem sie. Robota dobra, tylko dzień za długi.

– Dzień jeszcze nie jest taki zły. Da się wytrzymać.

... starą, jak brali, tośmy ją wszyscy obstąpili, ona na wózku i na operację i w ogóle była taka nieprzytomna, tylko jedną rękę wyciągnęła i mamrotała; chciałabym gdzieś koleją pojechać, daleko, daleko żeby jechać, koleją bym gdzieś chciała; czekamy wszyscy, myślimy, że już umarła, czy jak, wreszcie ją przywożą, oczy zamknięte, to wszyscy dotykamy, ciepła jeszcze, czyli żyje i tak przez całą noc; operacja, jak mi założyli tę maskę na twarz, to czuję, że się duszę i tylko głową pokazałam, bo twarz miałam zasłoniętą...

– Noc za długa, panie Oblęgorek.

– W nocy, to sie śpi przy babie. Albo z tyczką po prośbie lata. Bierzem sie. Jak człowiek zarobi pieniędzy, od razu weselszy. A stówy nie chciała dać frańca, gospodyni, na dobrą budowę. Zgręzła baba, opędziła. Chciałem ją brać dwadzieścia lat wstecz, ale ona nie oglądała sie na mnie. Bidny byłem. I co, swojego pochowała, a ja jej teraz nie wezme. A kiedyś, to latałem za nią, jak wściekły pies. Nie była do mnie pozytywnie zaakceptowana. Ja teraz cwany jestem. Jak bym nie był cwany, to bym dziś w ortalionie nie chodził. Ale wtedy, to jak wściekły pies. Jak bym ją miał przed oczami. Kawał baby. Dziś, to już purkrapek jest. I stówy nie chciała dać na dobrą budowę. Raz, to my ze szwagrem Wysockim budowali stodołę. Jeszcze cieśla z nami był, a szwagier Wysocki porządny człowiek, bo pijak. No i kurna, do gospodyni, żeby stówe dała, bo trzeba w rogu zamurować, na pomyślność i tego tam. Nie chciała dać, kurna, ale dała. Przyłożyłem te stówe do fundamentu, pochlapałem cementem, pochlapałem, a jak baba, kurna, poszła, to my papierek wyciągu i chłopaka po wino. Pięć flaszek przyniósł i jeszcze na sześćdziesiąt sportów zostało bez pięćdziesięciu groszy. Potem cieśla na pięć dał i pijemy. I tak przez sześć dni było. Cieśla wziął zaliczkę, tysiąc złotych i dalej pijemy, a potem sie zabrał i pojechał, bo niedziela przyszła i tak my go więcej nie widzieli.

Stałem przy kołowrocie. Nogami mocno zaparty. Lewa noga wysunięta do tyłu i wryta w kępę wyschniętej trawy, a prawa zgięta w kolanie i swobodniejsza. Tak, że nie do niej należało utrzymywanie ciężaru ciała. Ta druga odrabiała całą robotę bez szemrania.

Pilnowałem korby. Już nie szerokiego, niewielkiego świata, który był za plecami. Niepięknego, gdzie niedziela jak kozuch pleśni.

... co jest do picia; nie będę wyliczał, bo i tak pan jedną rzecz weźmiesz, piwo jest; ktoś mówi, co to za pomysł, te drzewa, można powiedzieć, umierają stojąc; ja nie chcę być sno-

bem, czyli iść za opinią publiczną, ale są dwa obozy, jeden przeciw, znaczy kontra, drugi za, znaczy za; panie, piwo, bo mnie słabo, jak żeś pan zjadł konsumpcję, to nie zajmować miejsca; ludzie to więcej gadają, niż prawdy jest; prowadzę żurnal siarka i jak chcę jechać gdzie, to mówię, że jadę i jadę, o przodownikach piszę i temu podobnie, za samo czytanie gazet więcej mam na rękę niż ty; panie, ale niech pan powie, jesteś pan księciem, czy nie, niech pan tylko to powie, kochany; jestem z właściwego gniazda; ale jesteś pan księciem, czy nie jesteś pan księciem...

Obraz kraju przesuwają się wzdłuż pociągu. Wybucho dzień, potem przygasa, by trwać miarowo. Oblęgorek prowadzi mnie i krzyczy:

– Dziadek, pomocnika znalazłem! Tym przyjechał, autostopem!

– A to postaw pod grusze – odpowiada.

A drugiego dnia siedziałem w sośninie, pod słońce i widziałem cień Oblęgorka; chodził po łące na szeroko rozstawionych nogach, a ręce jak ślepiec miał przed sobą. Trzymał brzoźowe widełki, które wyciął z tego najłagodniejszego drzewa i posuwał się powoli naprzód. Kapelusz studniarski z szerokim rondem miał zsunięty na tył głowy. Był skupiony i natężony, a spod tego runda wybiegały mu na skronie pędy żył, jak strumyki.

– Jezu, Jezu – stękała skulona za mną gospodyni i twardą dłonią dzieliła gorące powietrze na cztery części, znakiem krzyża.

Spał upał. Wyschła trawa nie wiązała ziemi, która unosiła się teraz w obłokach kurzu spod niecierpliwych butów.

– Żeby tego skurwegosyna Pan Bóg pokręcił. Żeby jego pokarał, pokrake – mruzczała wdowa, szarpiąc kawałki żywego ciała z sąsiada, który jej zagroził drogę do swej studni i teraz musiała wyłożyć te tysiące.

– A żeby jemu zaraza, amen.

Drżała brzoźowa witka w rękach Oblęgorka. Wreszcie wygięła się ku spieczonej ziemi, aż się gwałtownie zatrzymał.

– Tu czuje wodę, tu będziemy drężyć. – Ojezu – jęknęła wdowa.

– Czuje wodę – powtórzył i przysiadł na kępie. Wyciągnął papierosy, a wdowa dalej kręciła głową okutaną myślami, ciężkimi jak ten upał.

A potem pierwszy krąg był wpuszczony w sypką ziemię i nie miałem przy tym żadnej roboty. Oblęgorek wpuszczał go, wybierając ze środka.

– No i szwagier Wysocki, kurna, kopie studnie. Ja tam tylko przychodziłem i zakładałem ładunki, bo jego syn w kamieniołomie robił i denamit sobie brał, jak potrzebował. Wykopaliśmy trzydzieści metrów w skale, wody nie ma, ale myślę, kurna, żeby kto nie wpadł, bo szwagier desek na szalunek pożałował. No i szwagier Wysocki wpadł. Przylatuje, kurna, pytam, jak spadł. Ano na głowę. To mówie synowi szwagra, studnie zakop, to na pogrzebie oszczędzisz, a z takiej studni, to i tak grzech wodę pić. Ale mówi, że nie ma mowy, że nie, no to, kurna, do wyciągania. Jednego my spuścili, bo syn szwagra za chińskiego boga nie chciał. Ale jak go wyciągnąć? Więże go pod pachy, to ręce w górę, kurna, idą i się wysmyka. No to ja mówie, żeby za głowę uwiązać, ale myślę, przyjdzie prekurator, to powie, że powiesili. Tak za nogę go uwiązał, ja ciągnę, ale znowu krew z niego ucieka i ten na dole krzyczy, że go krew zalewa. A szwagier Wysocki porządny człowiek był, bo pijak. Umiał być pijany. I tak trzydzieści metrów poszło na marne.

Oblęgorek stał w pierwszym kręgu. Niegłęboko było, tak że mu głowa w kapeluszu studniarskim akurat wystawała nad zrąb. A potem zaczęła niknąć w czeluści, zupełnie się zagubiła, a ja się zapierałem wysuniętą lewą nogą i kręciłem ciepłym metalem korby. Patrzyłem przed siebie. Na płonącej łące i ponad.

Oblęgorek draży w glebie; zacięty jest i kiedy się pochylam nad kręgiem ciemności, to go nawet nie widzę, tylko słyszę głos, jak spod ziemi.

– Nie chciała mnie, kurna, no to swojego pochowała. A ja za nią jak pies za suką, z tyczką po proście.

Drażył i wgłębiał się, a ja odbierałem na górze ładunek, pełne wiadro wilgotnych wiórów. Kiedy krąg zrównywał się z powierzchnią ziemi, z ciemności wydobywał się Oblęgorek; odczepiał kubel, jedną nogę wkładał w pętlę liny, drugą opierał się o ścianę. Także plecami. Robiłem jeden obrót korbą, on szukał oparcia wyżej, potem następny obrót i następne oparcie, aż pojawiał się w słońcu. Nakładaliśmy kolejny krąg. Oblęgorek nawet nie odpoczywał, nie przysiadł z papierosem, by go z rozmysłem wypalić, nie wykręcał wilgoci z onuc, tylko opuszczał się w ciemność i drażył. Z wściekłością do tej żywej gleby.

– A ja za nią, jak pies za suką. Z tyczką po proście!

Patrzyłem przed siebie. Na płonąca łąkę i ponad. W stronę granatowego pasa sosen i w lewo, ku grupie młodych brzóz, najładniejszych drzew, pokrytych korą ciepłą jak skóra na brzuchach zwierząt.

Szukaliśmy wody, drażąc do źródła. Nie sięgałem wzrokiem poza granatowy pas sosen. One były widnokregiem. I te najładniejsze brzozy.

Nie było ataku słów. Chroniła mnie cisza łąki. Nie było słyhać barmana, który stał z osłupiałą twarzą; piersi miał przecięte metalowym białem.

... ojezu, ojezu, to pan, alem się zląkł, mówili, że pan w wypadku zginął, samochód w drebiegi, ale może to nie o panu mówili, już sobie nie przypomnę, ojezu, myślę sobie, taki człowiek; ja sobie od razu pomyślałem, że jak ja tu pana widzę, no to był pic na wodę; czy pan zna porucznika Smyka, o, całą flaszkę kupuję, o, ja robiłem kotły u jednego profesora i mi mówi, żebym zrobił i zrobiłem, czy pan zna porucznika Smyka?, to ja całą flaszkę; potyka się i jak Chrystus pada rozkrzyżowany na mokrą posadzkę kibla; kelnerka bije w twarz gościa, dość się już wypałeś, pani mnie zna z uczciwej pracy, a ja panią z nieuczciwej; jak to jest, restaurację mają zamykać, to się kurwy schodzą; wszystko mogę o panu powiedzieć, jestem wróżbita, coś jak jasnowidz, apropos, dorzuc pan na kufel...

Żeby mnie nigdy nie wyciągali nieprzytomnego z taksówki. Żeby nie trzymał w garści bukietu i nie bełkotał, niech żyje, niech żyje. Żeby nie mamrotał wystraszony taksjarsz, a za narzygane, to kto będzie płacił, za sprzątanie narzyganego...

Panieńska skóra łagodnych brzóz na widnokregu. I granatowa plama sosen.

– Jest! Jest źródło, kurna... – krzyczał Oblęgorek, wijąc się po kręgach ku światłu. Spodnie nad cholewami miał mokre.

– Jest. Jak z dołu patrzeć na niebo, gwiazdy w dzień widać. To mnie dziwi, kurna. Z tej studni ostatni raz widziałem gwiazdy.

Wydobyliśmy pierwsze wiadro. Woda była żółta i mętna. Nieprzejrzysta.

– Dużo trzeba będzie wyciągnąć do czystości – mówił zamyślony Oblęgorek, gdy siedzieliśmy przy wyszorowanym stole – białe deski.

– O, jak się ucieszyłem, żeście przyszli, już myślałem, żeście zabłądzili – marudził po izbie dziadek, rozkładając ręce jak szara ćma, objijająca się o ściany. – Kurier, to po waszemu dobra gazeta?

Przed nami stała butelka.

– Nic bimbrem nie jedzie. Trzy razy dziadek przepuszczał.

– Jedz wędline – podsuwał mi czarny kawior, czyli kaszanke. Był chleb, musztarda, herbata. Wszystko było. Białe deski świeżo szorowanego stołu.

– Urodziło się takie małe, kosmate, pół świni, pół kozła, pół człowieka – mrucał dziadek. Takie to jej się dziecko udało. W kurierze pisali. A cytryna dobra jest?

– A jak. – Oblęgorek odbijał drugą butelkę i czał się nad stołem.

– Ja to bym tak – przysunął się bliżej. Szarpnął głową do tyłu, potem chlusnął resztką na podłogę i odstawił szklanke. – Wdowa mieszka niedaleko. Możemy nową studnie drężyć daleko albo może być inaczej. Wiesz, co zrobimy? Wrzucimy jej do studni zdechłego kota.

To trzeba studnie zasypywać, bo zaraza. Mam takie ścierwo. I będziemy u niej drugą studnie drężyć, blisko. Mam takie ścierwo, to jej wrzucimy. Tylko najpierw mętną trzeba wybrać i dopiero jak się czysta pokaże...

Nalałem do szklanki, wypilem, resztką chlusnąłem na podłogę. Odstawiłem szklankę i zapaliłem papierosa.

– I drugą będziemy drężyć. Na co mamy jeździć daleko, jak tu jest blisko. Mam już takie ścierwo i drugą...

– Ja już nie będę mógł drugiej – powiedziałem ze śmiechem. – Muszę jechać.

– Jak? Że źle ci zapłaciłem? Tak żeśmy się dogadali...

– Nie dlatego. Dobrze pan zapłacił. – No to co się martwisz?

– Nie martwię się. Nie mówiłem panu, ale muszę jechać. Będzie pan musiał z kim innym szukać tej wody. Tak wypadło.

– Jak? Słyszałeś dziadek? Wyjeżdża!

– A to postaw pod grusze – odpowiedział.

[1973]

Kraj obraz

... To tego grudniowego dnia chcieli złożyć pod bramami stoczni kwiaty swoim poległym przed jedenastu laty, ale zatrzymały ich opancerzone kordony i tylko ponad brukiem hełmów widzieli z daleka jak podjeżdżają autobusy; widzieli wysiadających z nich ludzi i uwijających się kamerzystów; widzieli jak tamci toczą ku swoim ofiarom gładkie wieńce ze sztucznych kwiatów.

To tego dnia spikerzy telewizyjni, oddzieleni od widzów szczelnie przylegającymi mundurami, rzucali na boki ukradkowe spojrzenia, a kartki, które dzierżyli w dobrze ułożonych palcach, wydobywały z nich mechaniczne głosy; słowa płynęły w białym świetle reflektorów, a podłużne zmarszczki odklejały się od czoł; znaleźli się wśród nas tacy, którzy z całą świadomością zapragnęli spowodować starcie właśnie po to, aby popłynęła polska krew. Historia wymierzy im kiedyś ciężki, surowy wyrok – za warcholostwo, zaciętrzewienie, nieodpowiedzialność, brak wyobraźni. To ich sumienie obciąży przelana w środę polska krew. Niech odpowiedzą matkom poległych górników w kopalni Wujek, w imię jakiej sprawy postanowili doprowadzić do konfrontacji. Niech teraz spojrzą w oczy matkom zabitych.

– Pochylmy czoła nad tą śmiercią, która była niepotrzebna – brzęczały gadające kartki papieru, a głowy spikerów pochylały się jak w obawie przed nagłym ciosem.

W pokoiku obok studia telewizyjnego księgowa wypełnia ostatnie rubryki na liście płac.

Tej nocy nie spały przepełnione więzienia i mnogie posterunki wojska...

Ostry dyżur

Tunelem korytarza szpitalnego, pozbawionego okien i powietrza, poruszał się bezgłośnie wózek na gumowych kołach, na wózku leżał mężczyzna, przygwożdżony żyłastymi rękami salowych i próbując się unieść, krzyczał w zamkniętą przestrzeń, darujcie mi, rzeźniki, krew by was zalała, darujcie mi!

Jego głowa, nie wydając szelestu, opadła na splamioną ceratę; porywał ją z wysiłkiem spod zręcznych palców kobiet i dalej błagał krzykiem, który rozsypywał się na ścianach korytarza jak snop iskier.

Drzwi windy zatrzasnęły się i głos uwiązł w klatce, której mrok rozpraszał chrypliwy śmiech windziarza; jedną ręką przesunął dźwignię mechanizmu, a druga powędrowała ku podbrzuszu salowej, chronionemu szarą szmatą kitla.

Na salę wbiegł młody lekarz i rozglądał się drapieźnie po inwentarzu; chorych było jeszcze niewielu i ten człowiek patrzył na leżących z wyrzutem, tak jak ktoś, komu sprawiono zawód. Patrzył z przekonaniem, że jednym pewnym cięciem skalpela można człowiekowi odmienić życie.

Krążył wąskimi przejściami wśród pościeli i bacznie przyglądał się chorym przed długą podróżą na salę operacyjną.

Do bezwładnego i wiotkiego ciała mężczyzny podeszła pielęgniarka z maszynką do golenia w smukłych palcach, pan się zaraz wygolił na operację.

– Żebym się tylko nie zaciął – wyszeptał mężczyzna i czoło zakwitło mu kroplami potu. Powoli przekreślił się na bok, opuścił spodnie piżamy i wodził żyłką po brzuchu. Skóra wydawała głos dartego pergaminu.

Dwaj rekonwalescenci, odmienieni od ostatniego ostrego dyżuru, grali w oko, bacznie obserwując okolice; na łóżku obok nich leżał chłopak; W jego oczach nie widać było cierpienia, bo porywał je pulchny bochen opuchlizny.

– W twojej koszuli, spuchlak, już dwóch kopło kalendarz. Są dwa szwy. Czyli dwa razy była rozcinana na sztywnym. Mam oko! – krzyknął, spojrzawszy w karty.

Chłopak uniósł głowę, ale nie mógł dojrzeć swojej koszuli, więc odgadywał tylko palcami dwa długie szwy, ciągnące się od szyi w dół, ku brzuchowi.

Do sali wjechał wózek z pierwszym po operacji go dość ostrego dyżuru; pielęgniarki jak w obrzędzie przeciągały ciało na łóżko i dokładnie Okrywały nogi poduszką, którą wyjęły spod cichej głowy. Nad niemą pościelą kołysała się żarówka kroplówki, sącząca światło w nieruchome ręce.

– Nie spać, nie spać, jak się pan czuje...

Długo zastanawiał się nad pytaniem, jak się czuję, jak się czuję.

– Umarłem.

Młody lekarz wprowadził procesję następnego wózka, na tym łóżku położyć dziadka, co, dziadek, znowu się spotykamy, drugą nogę ciachnąć?

– Przebadać i na stół.

Pielęgniarka bezładnie oplątała wychudłe ciało mackami przewodów, łączących je z aparatem do elektrokardiogramu.

– Jak ja pana podłączę, jak pan nie ma nogi? Jak ja pana podłączę.

– Ale ja czuje te noge. Teraz też ją czuje. Te noge.

Odwrócił głowę ku poduszce sąsiedniego łóżka, a pan na co, bo ja się znam z niejednego szpitala.

Słuchał łapczywie, a w bezwładnych oczach rosła radość.

– To pan ma piękną chorobę. Mnie tu niedawno noge cieli. Dobry szpital, równiutko. Cały tydzień czekałem na ostry dyżur. Żeby się tu znowu dostać. Teraz będę miał raka wycinanego. I tak. Już się człowiek przyzwyczył do tej beznogi, już się wypilo i przytupło. A teraz dwanaście dni się nie jadło, to człowiek słabosilny.

Młody lekarz pogania pielęgniarkę, która niewprawnie trzebi włosy na brzuchu dziadka.

– Wawrzona na bok, dokończyć i dawać go na stół.

Rekonwalescenci odrywają oczy od kart, niech mu siostra wybrandzluje przy okazji, będzie miał co wspominać w niebie; twarz dziewczyny staje w płomieniach, a palce odruchową ściągają rozchylony ponad piersiami fartuch.

Złota plama w kształcie Azji rośnie na kołdrze chorego, któremu opadły ręce, przeważone ciężarem kaczki.

Po paru godzinach łóżko starego jest już zajęte, a inne usta, wychylając się spod bandażu jak kwiat, skarżą się kaloryferowi.

– Ojezuuu, ojezuuu, ojezuuu, ożesz.

– Siostro. A co z dziadkiem. Jego łóżko zajęte. – A. Na innej sali.

Pod łóżkiem starego stoi jedyny but – porzucone wspomnienie nogi.

Cygan w nocy wykitował, mówi salowa i wybucha śmiechem.

– Żona mu kure przyniesła. Pewno smyknęła w jakim kurniku. I on kure popod kołdre. I całą zeżar. Zaraz było po nim. No bo jak. Drugi dzień po operacji. I tak się utuczył.

Starzec wciska w jej zgłodniałą dłoń dwadzieścia złotych; niech się pani pokrzepi tymi pieniżkami. I niech mi pani basen, za przeproszeniem, da.

Stoję na korytarzu, okręcony niebieskim szlafrokiem i przyglądam się przez oszklone drzwi młodemu lekarzowi, który niedawno robił operację, a teraz rozmawia w dyżurce z pielęgniarką, paląc papierosa. Dłoń opiera o ścianę powyżej jej głowy, a dziewczyna obejmuje się rękami, uwypuklając w jego stronę jawne pod kitlem piersi.

Młody lekarz zauważa mnie, no i jak, podpisuje pan zgodę na operację?

– Nie. Niech pan na to nie liczy.

– No, niech pan z rozsądkiem podejdzie. Właściwie, to zabieg. Będzie pan jak nowy. Proszę po dobroci.

– Nie ma mowy.

Za oknem jaśnieje wąski skalpel księżycy, a na ulicy rzezi silnik autobusu nocnego.

Widać, jak dwóch kontrolerów wywleka z wnętrza mężczyznę, który się opiera; wykręcają mu ręce i prowadzą w stronę latarni, która z trudem wydaje światło.

Wracam do sali, przechodząc obok pęczniejących kroplówek. Przy łóżku starca ustawia krzesło praktykantka ze szkoły pielęgniarskiej.

Siada, okrywa się szarą peleryną i rozkłada delikatnie błonę gazety.

– Zna siostra ten kawał o facecie, co leżał w szpitalu ze zwichniętym palantem? – pytają rekonwalescenci, odkładając karty.

Patrzą na nią głodnymi oczyma; nie odrywając wzroku, dzielą ją, odbierają sobie drapieżnie i następnego dnia już nie będą układać sprawiedliwie kart na równe części.

Dziewczyna pochyla głowę nad programem kin. Włosy zasypują jej twarz i jak puder gaszą czerwień policzków.

– A o kapturze mnicha siostra zna? Opowiedzieć?

– Też taki ostry? – pyta nieśmiało.

– Siostra takie lubi. Mi siostra nie powie...

Ruch w sali umiera.

– To dwóch z tej sali – szepcą salowe.

– Małowiele.

Za oknem płonie miasto przed świtem; domy drżą nieznacznie, ostatnie kobiety z dworca zamykają się jak książki do nabożeństwa.

Kominy fabryk, do których wloką się robotnicy, nabierają wody deszczowej w usta.

O świcie wbiega do sali piękna pielęgniarka.

– Sikać, sikać, czemu nie nasikane do analizy jeszcze? Już!

Młody lekarz kończy dyżur i zaraz znajduje się w swojej przychodni, by przebierać w pacjentach. Jest bez munduru białego fartucha; na ramionach ma zamszową marynarkę, ciepłą jak wilgotna dłoń.

– Dlaczego pan nie śpi?

– Czemu pan pyta.

– No i jak z operacją? Tak sobie pytam.

– Nie będzie żadnej operacji.

– To się źle dla pana skończy. Za parę dni inaczej pogadamy.

– Nie bądź pan śmieszny.

Młody lekarz szybko wysuwa lewą nogę, dłoń zamyka się w pięść jak jeź i tą pięścią uderza mnie w spłot słoneczny.

Zginam się jak w dziękczynnym ukłonie i usta nie przyjmują powietrza.

Młody lekarz zbiega po schodach i opuszcza szpital.

Odwraca się na dole w stronę okna i widzi mnie. Potem zatrzaskuje drzwi samochodu i gna w miasto.

Jak ciężki dzień budzi się głowa chorego, odwijana z bandaży przed opatrunkiem.

Ręce brną ku słoikom po dzemie truskawkowym, w których są przyklejone kartki z nazwiskami, wypisanymi okrągłym dziewczęcym pismem.

W sali wstają jęki. W przebieralni pielęgniarki obnażają ciała z łupin białych fartuchów, badając się zazdrosnymi spojrzeniami.

– Dziś będzie ta cyczata na zmianie – odzywa się rekonwalescent. – Ta, co jej cycz prześwieca przez fartuch. Siostró, to ilu na ostrym kopło w kalendarz?

– Co? Który dzisiaj? – wraca z letargu starzec. Rozpoczyna się dzień nie do opisania.

[1975]

Kraj obraz

... Te kobiety, którym tutaj w ciągu miesięcy przybywa lat i popiołu we włosach?

Te kobiety, poruszające się zręcznie tunelami wśród ubrań, puszek, pudełek i lekarstw, zasypujących szkliste korytarze klasztorne?

Te kobiety, które przysiadły teraz na kartonowych pudłach jak szare wróble i szybko odpoczywają i nie myślą nawet o nocy?

One robią paczki dla tamtych, znanych tylko z nazwiska i imienia ojca i dla osieroconych rodzin. Siedzą na kartonach i mówią w kamienną podłogę, która w nieskończoność powiela głosy.

– W jednym obozie, kławisze, co pałowali ludzi, to sobie kazali całować buty.

– W jednym obozie powiedzieli kobiecie, że umarł jej syn i że wypuszczą ją na pogrzeb, jak im podpisze deklarację lojalności.

– Jeden się ukrywa i przychodzi do jego matki i ona mówi, że nie wie, gdzie on jest, to jej zapowiadają, że co poniedziałek będą ją wozić do kostnicy, żeby rozpoznawała zwłoki, że może syn się trafi.

– Jak wzięli ją i jego, to dziecko zabrali do milicyjnej izby dziecka; w takich sytuacjach, to mówili ludziom, że będą mieli odebrane prawa rodzicielskie.

– On siedzi, a matka została z dzieckiem i to dziecko zaczyna mówić, ale ona jest głuchoniema i dziecko powtarza za nią tylko te bełkotliwe sylaby; to, czego się od niej nauczy, to powtarza, tylko to.

– Jednej chorej, co jej zabrali lekarstwa w więzieniu, to powiedzieli, jak się upomniała, że mogą jej dać sznur i będzie się mogła powiesić.

– Jedna matka, co pracuje w bezpiece, to zadenuncjowała syna, właśnie paczkę dla niego zrobiłam.

Już nie mówią, ale zmieszane głosy trzepoczą jeszcze w zaciszu.

– A to. Przychodzi zomowiec do lekarza z łomem w plecach. Teściowa? Nie, Wujek. Kopalnia. I rozbiegają się po labiryncie, szeleszczą papiery; tylko pamiętajcie, żeby zdejmować te kolorowe opakowania z zagranicznych rzeczy, bo to kławiszy drażni...

Chałwa, pumeks, benzyna

Tynk tego domu obsypany jest maleńkimi otworkami, które zostały po przebytej trzydziści parę lat temu czarnej ospie.

Na ścianie, na jednym haku, ostatkiem sił trzyma się przekrzywiona gablotka z liszczkami polityry; za mgłą szybki widać trzy rysunki wykonane przez dzieci; nad tymi rysunkami jest napis, zawsze razem, pierwsza, druga, trzecia nagroda. Bliżej gwiazd. Na każdym z nich rozlewającymi się plamkami akwarel namalowany jest Kreml, a z każdego Kremla, z najwyższej wieży, wytryskuje w niebo stalowy sputnik, wyglądający jak złośliwy plemnik, który chce doprowadzić świat do niepożądanego ciężkości.

Drzwi tego domu zamykają łaźnię, ale mogą też chronić wnętrze każdej instytucji.

Możliwe, że te drzwi, z których bezszelestnie łąszczy się farba w kolorze dworcowym, prowadzą do łaźni.

Możliwe, że tam, w środku, są niskie korytarze, przepocone parą śliskie poręcze, których nikt nie dotyka, by nie zostawić odcisków palców, schody, ociężałe kotary i stojące blaszane popielniczki.

Duszący zapach wilgotnych koców i na pewno ta mała kobieta z ogromną, opadającą do tyłu głową, sprzedająca bilety wstępu.

Wąskie korytarzyki prowadzą w różnych kierunkach, wanny, bicze wodne, natryski, kąpiele borowinowe; na drzwiach wiszą emaliowane tabliczki z zatartymi napisami.

Wczepieni w drewniane ławki ludzie; czekają, by ktoś przywrócił im chęć do życia, a w oczach mają tak głęboką ufność, jakby przygotowywali się do spowiedzi.

Co jakiś czas pojawiają się funkcjonariusze, okręceni szarymi kitlami i czujnym wzrokiem wyławiają kogoś spośród oczekujących.

W pomieszczeniu, odgradzonym od łaźni parowej ogromnym prześcieradłem, całym w siniakach pieczętek, jest bufet i stolik z samotnym krzesłem, na którym ktoś siedzi; inni, owinięci kawałkami płótna, stoją dookoła w nieruchomych pozach, we włóknach pary, która jest cicha jak pierwszy śnieg; ci ludzie wyglądają jak pomniki tej epoki.

Za wysoką ladą porusza się głowa bufetowego; wygląda to tak, jakby ślizgała się we wszystkich kierunkach po omszałym od wilgoci blacie; bufetowy podzwania butelkami z piwem grodziskim; podnosi te butelki łakomie do ust, jakby z każdej po kolei chciał się napić; między przednimi zębami ma obszerną szparę; wciska tam brzeg kapsla i jednym pociągnięciem zrywa go z szyjki. Brak mu czasu, by ocierać strzępy piany, która wydobywa się z butelek; piana osiada mu na ustach i przez to ta głowa, tocząca się po blacie, wygląda jak głowa szaleńca.

Bufetowy rozdaje butelki, które są rozbierane w milczeniu, monety wrzuca do plastikowego pudełka po paście do podłogi, kolor kość słoniowa, grzechocze tymi monetami i śmieje się gdzieś w przestrzeń.

– Wsio jest gitenio! Chałwa, pumeks, benzyna!

– Jeszcze żeby tylko putany były na szkiertanie – odzywa się ten od stolika. – To już było pełne pedalstwo.

– No, wtedy to chałwa, pumeks, benzyna! – śmieje się bufetowy spienionymi wargami.

– Szefie! Nie pytał dziś o mnie taki brunecik z krótkimi piórami – pyta ten od stolika.

– Jeszcze się nie pytał – bulgocze bufetowy. Jak się miał pytać, to się zapyta. Pan Władzio to się pytał, ale się zmył.

- Szkoda, że się zmył. Ni ma zabawy bez pana Władzia. Dowcip opowie, chuja pokaże...
- Chałwa, pumeks, benzyna! – ryczy bufetowy i Waryńskim z banknotu ociera łyzy, które płyną mu po twarzy.
- Nie ma który paczki? Bo jestem pusty. Bym się napił – odstawia butelkę ten od stolika. Nieme postacie w bieli kręcą głowami.
- Zasłona, oddzielająca pomieszczenie od łaźni parowej faluje nieznacznie; ukazuje się zza niej ostrożnie jakaś postać i chyłkiem, przytulona do ściany, przemyka się w stronę bufetu.
- Cześć, Atasze. Sie masz.
- Atasze zatrzymuje się raptownie w pół kroku i tak ostrożnie stawia bosą stopę na posadzce, jakby badał wcześniej grunt.
- Cze-czeeść.
- Zaraz się coś zrobi – ten od stolika mruga do niemych postaci, unosi się nieznacznie i wyciąga spod siebie jakąś książkę w wiotkich, niepewnych okładkach.
- Atasze. Chcesz zrobić dobry interes?
- Chy-chyyyce-e. Ja-aaasne.
- Atasze. Tu masz dzieło. Dramaty. Dwie paczki na tym trafisz. Ja ci oddam za paczkę. A ty sobie skoczysz do antykwariatu i pchniesz to dalej za dwie paczki.
- A-aa wyya-wyaarto?
- Jasna sprawa. To jest biały kruk. Posłuchaj Atasze. Walenty Zielencow ulega wpływowi zachodniego stylu życia swego mistrza Wawerlejskiego, sprawy osobiste stawia na pierwszym miejscu, zaniedbując pracę produkcyjną i kulturalną w zespole teatralnym przy fabryce. Dopiero zdecydowana postawa towarzyszy i wychowawcze działanie kolektywu pozwalają zarówno Kostii jak i Walentynowi podejść właściwie do zagadnień. Wszystkie sztuki charakteryzuje optymistyczne zakończenie, ukazanie dalszych perspektyw rozwojowych obozu walki o pokój i socjalizm. Zgodnie z historycznym rozwojem ludzkości przegrywają reprezentanci gnijącego, zwyrodniałego świata kapitalistycznego, a zwyciężają wspaniali i szlachetni ludzie, walczący o zdobycie lub realizujący już ustrój sprawiedliwości i szczęścia, komunizm. Widzisz, że już wstęp jest gites. Nazywa się Przyjaciele sztuki. Paczka, to całkiem darmo. Ja cię, Atasze, nie oszukam, nie? Nie? – patrzy na milczące pomniki w bieli.
- Ty-oo zy-zy-aaaraz – odpowiada gorączkowo Atasze i rzuca się za kotarę.
- Możesz pan otwierać flaszki, szefie!
- Głowa bufetowego toczy się ku skrzynce z butelkami; obiema krótkim rączkami unosi po kilka jak bukiety, a źle przyklejone etykiety wirując spływają w dół lotem zeschniętych liści.
- Z panem, szefie, to dobrze tu mamy, tak? Pan smaży, a my dziobiemy. Elegancja. A ci pokazuje na milczących w bieli – to powinni do tych pieluch zakładać czerwone krawaty. Bez czerwonych krawatów nie powinien pan wpuszczać do lokalu.
- A jak! Chałwa, pumeks, benzyna! Tak, czy nie?
- Niemi w bieli podnoszą butelki do ust.
- Kotara faluje, pojawia się Atasze jak wypchnięty przed kurtynę i chyłkiem sunie do tego za stolikiem.
- Daj szmal panu szefowi – wskazuje głową bufetowego; Atasze zatrzymuje nagle się w pół kroku, potem ostrożnie się odwraca i ślada banknot na ladzie. Bufetowy natychmiast odkleja go od wilgotnej powierzchni.
- Trzymaj dzieło – mówi ten od stolika; Atasze porywa książkę, później drobi ku kotarze, ale zatrzymuje się jeszcze na moment i patrzy błagalnie na bufetowego.
- Py-pyaanie szsz-szszefie. Daa-haaalby paan p-p-paa-re k kkaapsli dladzie dla dzie-ciaaa-ków.
- Nie mogie, kochany. Jak pragnę boga. Sam coś muszę swoim przynieść, tak?
- Nooo tha-aaak – szepce Atasze i znika za kotarą, unosząc książkę.

Ten przy stoliku przechyla głowę do tyłu i pozwala płynąć piwu swobodnie; ci w bieli poprawiają prześcieradła, moszcząc w nich dokładnie gąbczaste ciała. Para cicho podzwania biela.

Drzwi otwierają się wolno; ten, który się w nich pojawia, zatrzymuje się teraz i wypatruje wśród nieruchomych postaci jakieś twarzy.

– Po cywilnemu nie wolno! – odzywa się głowa bufetowego.

– To do mnie, szefie – mówi ten od stolika. Robotę mam chłopakowi załatwić. Sie masz.

– Cześć.

– Kumpel – mówi ten od stolika, odwracając się do milczących. Pisał pracę doktorską i na samym finiszu wyruchali go. Znajomych miał nie takich, co trzeba. Tych korowców, co to, tego. Z korem się zadał, farę gazetek poroznosił, a teraz został na lodzie. Żona, dzieciak. Bez mieszkania. Trzeba człowiekowi pomóc, jak został na lodzie, tak? – mruga porozumiewawczo do tamtych.

Stojący milczą, a ten który przyszedł, zbliża się teraz do stolika.

– Browarek? -pyta siedzący. – Może być.

– Szefie. Pan otworzy parę flaszek. Zapłać panu szefowi. Po dwanaście flaszka.

Bufetowy znów toczy pianę z ust, spadające kapsle i monety brzęczą delikatnie; ci w bieli piją milcząco.

– To jaką robotę chcesz? – pyta ten od stolika.

– No, nie wiem, jakie są możliwości...

– Możliwości to jest dużo. Na razie masz dwie możliwości. Albo wydział kultury w urzędzie miasta. Praca ideowa. Ruch. Rozumiesz. Jakies planowanie. Nanoszenie na grafik. Organizowanie. Ciągły ruch. Albo rozgłosnia harcerska. Zrobisz parę audycji na próbę. Umiesz się posługiwać magnetofonem?

– Zależy jakim.

– W miasto przeważnie chodzi się z kasetą filipsa. Nacisnąć chyba umiesz klawisz. Machniesz parę programów, a potem podpiszą z tobą umowę. Powiedz jakieś zdanie. Muszę posłuchać, czy masz radiowy głos.

– Co mam powiedzieć?

– Już. O to chodziło. Już wystarczy. Głos w porządku. To teraz skocz po dwie flaszki do delikatesów.

– Co kupić?

– Horeńka. Zwykła horeńka. I coś, żeby zagryźć. Byle co. Kawalek mortadeli. Może być ucho Czombego. Albo lastryko. Byle co. Sprawę trzeba oblać.

– Dobra. To ja zaraz wracam,. Tylko kolejka może być. Ale może nie będzie takiej. To szybko będę z powrotem. Już słabo było. Nigdzie nie mogłem się zaczepić. Zaraz będę. Ale to pewne? Z tą robotą?

– A jak? Coś ty myślał. Jak lubisz tylko młodzież, to niet problema. Masz to z czapy.

Ten, który przyszedł, znika teraz za drzwiami. Milczący w bieli trwają nieruchomo obok swoich butelek.

Siedzący za stolikiem oblizuje chryzantemę piany, która zakwitła cicho na szyjce, wyciąga z paczki papierosa i odwraca się do zastygłej głowy bufetowego.

– Jakiś ruch jest w interesie, tak? Na tę rozgłosnię harcerską, to ja już skrzynkę hary obaliłem. Tych jeleni bez roboty coraz więcej jest. Harcerzy to ja za to lubię. I pan coś przy okazji chlapnie, szefie.

– A jak! Gdzie go pan podłapał?

– Mało się takich teraz kręci po mieście? Gdzieś w knajpie się napatoczył. Trzeba zrozumieć człowieka. Nie?

– Chałwa, pumeks, benzyna – śmieje się głowa bufetowego. – I niech pan nie wyrzuca naklejek z butelek. Ja sobie zabiorę. Coś trzeba przynieść dzieciakom w końcu...

Zamilkły chór grecki w bieli czeka cierpliwie.

Kraj obraz

... Ulicą Nowy Świat wiatr niesie strzępy gazet, które chłoną błoto z asfaltu; natrętnie tytuły kleją się do cierpliwego papieru jak skrzepy; wzrasta produkcja i wydajność pracy, proszku do prania w nadmiarze, rozszerzenie stosunków gospodarczych z Angolą, kołdra królowej Marysieńki wróciła do Wilanowa, młodzież aktywnym partnerem partii, jezioro Białe nie będzie już szaro-bure, ożywienie na placach budów, lepiej i więcej w przemyśle maszynowym, koła gospodyń wiejskich w działaniu, kryzys nie powstrzymał rozwoju łączności, potępienie ludobójstwa, dobry początek, nowa humanistyczna cywilizacja, łagodzenie trudności codziennego życia, umacnianie działalności wszystkich ogniw, tak, jak chcą ludzie; ulicą Nowy Świat przemykają się ludzie, czerwone łzy płyną spod zaciśniętych powiek, a na drzwiach wisi kartka z dziecinnego zeszytu, przypięta lekarskim plastrem do łusek farby, sklep nieczynny z powodu zagazowania...

Rewizyta

Będziesz coraz bliżej tego zamaszystego gmaszyska; każdy twój krok będzie ciężki w dwójnasób, a on, ten nienawistny gmach, ruszy ci na spotkanie i będzie rósł i będzie chciał cię przerosnąć.

I nawet zatrzymując się na moment ulgi, będziesz coraz bliżej tego budynku, pokrytego szarym ochronnym murszem tynków, śniejących na trotuar.

Za każdym opornym krokiem będzie się zbliżał i olbrzymiał, będzie cię ogarniał, będzie cię przytłaczał, a ty bez spokoju będziesz się rozglądał, będziesz wypatrywał jakichś znajomych oczu lub raczej nieznałomej twarzy, będziesz się zabobonnie przez lewe ramię oglądał za siebie i rzucał spłoszone spojrzenia na boki; żeby nikt cię nie widział, żeby cię tylko nikt nie zobaczył, wchłanianego przez tę właśnie bramę.

Każdy krok będzie ci rósł w gardle, podchodząc coraz wyżej, każdy krok będzie cię oddalał od tego wymyślnego azylu; ukryty w nim, byłeś widoczny jak na dłoni.

Będziesz coraz to bliżej tego zamaszystego gmaszyska; ta rewizyta jest odpowiedzią na odwiedzinę tamtych ludzi, którzy byli u ciebie i zostawili ci zaproszenie na spotkanie; nie spodziewałeś się ich już teraz; nawet nie chcieli słyszeć o tym, że wolałbyś inny termin lub nawet chętnie byś zrezygnował; wydawało ci się wtedy, że z tymi ludźmi nic cię nie łączy.

Nawet nie chcieli o tym słyszeć, że mógłbyś im sprawić zawód, bo oczekują cię tak niecierpliwie. Obejrzyś się jeszcze raz; nikt cię nie widzi i zobaczysz tylko ten zwykły krajobraz za plecami, to staczające się życie, te staczające się tramwaje, ten dwuwymiarowy obraz staczających się ludzi, obraz pełen zakłóceń, których już nikt nie potrafi i nie próbuje rozjaśnić.

Przechodząc koło bramy tego budynku, skręcisz nagle w nikły cień; potem oblize cię wilgotny zbutwiał mrok; staniesz się już na pewno kolejnym w pochodzie i nie ostatnim, który składa rewizytę w jednym z tych budynków; one rosną wszędzie, puchną jak pęcherze w każdym mieście, na centralnych placach, nazywających się najczęściej placami Wolności.

Mimo, że w futrynę wmontowany jest czułek dzwonka, zastukasz do drewnianych drzwi, pomalowanych popielatą farbą; zastukasz do tych drewnianych drzwi, których przezornie nigdy nie dotknie żaden kornik i będziesz czekał chwilę w ciszy, a potem usłyszysz, jak zabrzączy ci zaproszenie.

Wejdiesz do wnętrza i zobaczysz korytarzyk, zakończony innymi drzwiami, wmontowanymi w stalową kratę, zobaczysz nieprzejrzystą szybę, chroniącą dyżurkę i ruszysz w tym kierunku, jednocześnie szukając niecierpliwie karteczki. Przetrzęsając kieszenie.

W dyżurce, zaraz za szybą, zauważysz stary stół I z porysowanym blatem, a na samym brzegu tego i stołu służbową czapkę; ta czapka będzie wyglądać tak, jakby tkwiła w niej głowa dyżurnego; z pewnej odległości będzie ona tak wyglądać, jakby dyżurnemu przez nieuwagę spadł na podłogę plasterek kielbasy i teraz on, klęcząc za stołem, usiłuje ostrożnie odkleić go od szarej deski.

Gdy podejdziesz bliżej, gdy się zbliżysz, zobaczysz, że czapka jest jednak próżna, że w pomieszczeniu nie ma nikogo i że nikt nie czeka, by cię powitać u wejścia i odebrać od ciebie wierzchnie odzienie. Albo przynajmniej pasek i sznurowadła.

Chwilę będziesz stał niezdecydowany, ale zaraz wybawią cię niewielkie drzwi wewnątrz dyżurki, od twojej strony zasłonięte metalową szafą; te drzwi otworzą się teraz i zza szafy wyjdzie jakiś mężczyzna; popatrzy na ciebie, podejście bliżej; j pomyślisz, że niczym się nie

różni od innych, że też, jak inni, ma twarz niezidentyfikowaną, niezdecydowaną i pozbawioną drapieżności, ale będzie to tylko chwilowe wrażenie, bo mężczyzna szybko, jakby wstydliwym ruchem sięgnie po czapkę, nałoży ją, skrywając aureolę, odcisniętą na włosach i zobaczysz wtedy zupełnie inną twarz – przed tobą nie będzie już stał jakiś nieokreślony człowiek; od tego momentu to ty będziesz stał przed dyżurnym funkcjonariuszem.

W milczeniu wsuniesz przez serduszko w szybie zaproszenie; dyżurny rzuci na nie okiem, potem spojrzy na ciebie, a potem, nie patrząc już nigdzie, odezwie się po raz pierwszy, odając ci karteczkę.

– Piętro dwa, pokój dwieście jeden.

Potem wyciągnie rękę w stronę przycisku; usłyszysz brzęczenie i drzwi, uwięzione w stalowej kratce, staną przed tobą wąskim otworem.

Ruszysz w górę, już z dziwnym spokojem, któremu przyklaskuje teraz metalicznie zatrzaśkiwana za plecami furta; schody pod stopami będą skrzypieć; pomyślisz, że to drewno się rozeschło; kiedyś, wcale nie tak dawno temu, było mokre od tej roboty, ale teraz nieco obeschło; będą cię mijali jacyś ludzie, wielu młodych ludzi, ubranych w dżinsy i modne koszule, ludzi niczym nie różniących się od swoich równoletów z tamtej strony; jedyna różnica, to zadania, które dostali do rozwiązania, to zadania, które przyjęli do rozwiązania; jeden z nich odwróci się za tobą, Mietek, wpadnij do mnie po fajrancie; popatrzysz na niego zaskoczony, oparda, usłyszysz i tamten pobiegnie dalej swoją drogą; minie cię paru ludzi w mundurach i żaden z nich nie zwróci na ciebie baczniejszej uwagi, żaden z nich nawet się za tobą nie obejrzy, mimo, że myśli, serca i czyny tych ludzi towarzyszą ci dniem i nocą.

Będziesz się wspinał po schodach, na drugim piętrze skreścisz w lewo i pierwsze drzwi, które ujrzysz, będą nosiły numer dwieście jeden.

Sprawdzisz jeszcze raz, czy numer, zapisany na zaproszeniu, zgadza się z numerem na drzwiach i zastukasz; drzwi otworzą się tak szybko, jakby ktoś, telefonicznie uprzedzony do ciebie przez dyżurnego, czatował za nimi od dawna.

Podasz zaproszenie.

– Dowód osobisty i zaczekać na korytarzu odezwie się ten, który otworzył drzwi.

Zabierze twój osobisty dowód, a ty znów przeżyjesz moment samotności w ciemnym przełyku tego domu.

Potem drzwi się otworzą i zostaniesz zaproszony do środka; ten, który zabrał ci dowód, przepuści cię i ruszy do wyjścia, tak, jakby cię chciał zająć od tyłu.

Ty zapytasz go jeszcze.

– Mogę dostać z powrotem zaproszenie?

–A na co?

– Na pamiątkę.

– Co pan. Na pamiątkę, to my sobie je zatrzymamy.

To zdanie usłyszysz za plecami; odwrócisz się; za biurkiem będzie siedział inny mężczyzna w białej rozpiętej koszuli i z uśmiechem, jak bukiet sztucznych kwiatów.

Wyciągnie do ciebie rękę i ty, zaskoczony, nie będziesz umiał się zdobyć, nie będziesz sobie umiał odmówić tego samego gestu; poczujesz w dłoni jego ciepłe paluszki, nawet nie wilgotne, nawet nie twarde, nawet nie.

– Niech pan siada.

– Może postoję.

– Niech pan siada. Pogawędzimy.

Usiądziesz na krześle, ustawionym po tej stronie biurka, oprzesz się i w przedłużającej się ciszy będziesz czekał na pierwsze słowa.

– Mamy z panem dużo kłopotów.

– Przepraszam.

Mężczyzna spojrzy na ciebie badawczo i znów przez chwilę nie będzie się odzywał.

Zauważysz, że często patrzy w dół, że siedzi nienaturalnie daleko od biurka i będzie cię to ciekawić przez moment. Aż dotąd, kiedy zrozumiesz, że on ma wysuniętą szufladę, a na dnie tej szuflady pewnie jakąś zapisaną kartkę, która pomaga mu ciebie pojąć.

– Nie mamy w kraju ani jednego więźnia politycznego.

– Jest więcej.

– Ani jednego. To bardzo mało. Po co więcej. Jest z tym spokój. W razie czego, to my możemy wezwać takiego kogoś, z kim mamy kłopoty. I z nim porozmawiać, bracie, po co ty to robisz, lepiej przestań i tak dalej. No, a z panem mamy kłopoty.

Mężczyzna poprawi się na swoim miejscu, zapali papierosa, ty odmówisz, gdy przedtem wyciągnie paczkę w twoim kierunku; ja nie palę, wiemy, że pan pali, ja nie mówię, że w ogóle nie palę; zapalną wrzuci do dużej szklanej popielniczki, ustawionej na biurku i znów zaczniesz ci się przyglądać.

– Mam dwie wolne godziny dla pana. Możemy sobie szczerze porozmawiać. Bez ogródek, jak to się mówi.

– Możemy.

– No, mam parę takich pytanek... – To będzie rozmowa, czy pytanie.

– Chciałbym usłyszeć odpowiedź na parę zwykłych pytań...

– Jak mają być pytania, to chyba będzie protokół? Chyba tak? O ile się nie mylę?

Mężczyzna spojrzy na ciebie smutno i pokręci głową.

– Eeeeech...

Potem pomilczy chwilę i znów podniesie już znużony wzrok.

– Ja tu z panem chciałem... prawda... Ma pan ze sobą szczoteczkę do zębów?

– Nie wziąłem. Myłem już zęby. – Wieczorem też trzeba. I rano...

– Wiem. Ale mogę odpowiadać tylko do protokołu.

Mężczyzna zgasi papierosa i dłonią płasko uderzy w biurko po swojej stronie. Natychmiast otworzą się boczne drzwi i wejdzie inny mężczyzna, patrzący wyczekująco jak wyżeł.

– Siadaj do maszyny. Będziesz protokółował. Klawisze zaczną łakomie kłapać, a ty przez chwilę będziesz mógł siedzieć w milczeniu. Dopóki mężczyzna nie podyktuje magicznych słów wstępu. A potem ze zdziwieniem usłyszysz, że ten stary znajomy pyta cię o nazwisko, o imię, o różne inne szczegóły, które zna od dawna, a ty odruchowo opowiesz mu o sobie.

– Co pan robił kolejno przez wszystkie dni zeszłego tygodnia? Zaczynając od czwartku? Wie pan który to był dzień miesiąca?

Bez słowa skiniesz głową; ręce tego przy maszynie drapieźnie, jak dłonie pianisty, zawiśną nad.

– No?

– Odmawiam odpowiedzi. – usłyszysz swój głos.

Twarz mężczyzny za biurkiem obleka się miną smutku. Zobaczysz też na niej ten pierwszy warunkowy odruch rezygnacji z siebie.

Chwilę będzie siedział z opuszczoną głową, a potem bez słowa delikatnie ujmie lilię słuchawki i wykręci jakiś numer.

– Cześć, cześć pracy. To ja. Cęła numer osiem wolna? Tak? Co? Dobra. Cześć pracy.

Potem popatrzy na ciebie z wyrzutem.

– Czemu pan nam robi tyle kłopotów. Pan wie, ile mytu mamy roboty?

Będziesz milczał, opuścisz głowę i wreszcie ze smutkiem, patrząc w dół, powiesz wolno.

– Wiem. I chciałbym złożyć oświadczenie. W związku z pierwszym pytaniem.

– Oświadczenie?

– Tak.

Twarz mężczyzny ożywia się i skądś spod kołnierza wypełza na nią uśmiech.

– No, to słucham. W takim razie.

Chwilę będziesz się zastanawiał, a potem odwrócisz się w stronę tego, przyczajonego za maszyną.

– Niniejszym oświadczam, że nie mam nic wspólnego...

Nic wspólnego, mruczy ten za maszyną, a łakome klawisze dają ci poklask.

– ... nic wspólnego z wybuchem pod pomnikiem Lenina w Nowej Hucie, który nastąpił cztery dni temu.

Usłyszysz jak zapadnie cisza; mężczyzna za biurkiem oprze głowę na dłoni i bez celu zapatrzy się przed siebie.

– Do dupy z taką robotą... – powie i umilknie.

Ty będziesz siedział jakiś czas cicho, a potem z obawą zapytasz.

– To jestem już wolny?

– Wolny? – podniesie głowę mężczyzna. Jaki? Wolny?

– Czy mogę już iść do domu? – Może pan iść do domu.

Z trzaskiem zasunie swoją szufladę w biurku i siądzie bliżej blatu.

Podniesiesz się bez słowa i usłyszysz jeszcze jedno zdanie, które nie ma już znaku zapytania.

– Zobowiązania o zachowaniu tajemnicy o naszej rozmowie to też pan nie podpisze...

– Wie pan... jednak nie...

On wyciągnie do ciebie rękę, ale będzie ci tylko chciał oddać dowód osobisty. Potem włoży do ust nie zapalonego papierosa i pokiwa głową.

Ty odwrócisz się jeszcze od progu.

– To do widzenia.

– Do zobaczenia – usłyszysz.

Zamkniesz za sobą drzwi i obraz pokoju zamaże półmrok, a ty poczujesz się oddzielony od tamtych jędrnym drewnem i zapłonie w tobie ta odrobina pewności i spokoju.

A potem, po skrzypiących stopniach, będziesz schodził w dół, ku kracie przy dyżurce, ku dyżurnemu, ku staczającemu się światłu tego dnia, ku...

Kraj obraz

... Kiedy to było w tym kraju? W mieście tego kraju? Kiedy to było?

Słysząc tramwaj; jak obolały jęk toczy się wiślanym mostem, wyrasta w drgającym powietrzu, rośnie, ale nagle zwalnia; ta kolczasta tyraliera w poprzek, błyski chorego światła na hełmach, broń, podkute buty, które naprawdę nie wróżą nic dobrego; tramwaj toczy się jeszcze, za szybą motorniczy; koślawe tory wprawiają go w epileptyczne drgawki; tramwaj cichnie nieruchomo...

Kiedy to było? To wygarnianie ludzi, krzyki, spychanie opornych w kierunku łakomej budy? Ci ludzie w mgnieniu oka nauczyli się przyjmować postawę skazańców; głowy, milknące w ramionach, kabłąk pleców; kiedy to było?

Szczelne wnętrze żarłocznej budy; ten studencina, przy którym wytresowane ręce znalazły talię kart i flet; na wadzę chciałeś gwizdać na tej fujarze, kurwa twa ma; nie chciałem gwizdać; gęste powietrze chichocze pod pałkami, diamenciki kurzu grają; chłopak kuli się teraz w kącie i porusza ramionami jak w tangu, a tamci odpoczywają, oglądając zarekwirowane karty; tasują je, rozdzielają; mają teraz chwilę wytchnienia i jeden z nich odwraca się do niego; chono tu, bo nam brakuje jednego; chono tu, zagrasz z nami we wojnę; no chono tu, kurwa twa ma...

Kiedy to było w tym kraju; spasiona buda uprowadza ludzi w nieznanym kierunku, gaz łzawiący kasa opustoszała ulicę...

To było teraz...

Temat współczesny

Poruszali się ulicą martwą jak po ewakuacji; szli sobie, a właściwie nie tylko sobie – za nimi marudziły kroki obcego mężczyzny, więc szli także i dla niego.

– No więc?

– No więc nie piszę, mówili, mówili też, to wszystko mnie sparaliżowało. Brak mi dystansu. Chaos. Dezorientacja. Wszystko, co było dotąd, jest dawne. Zaciera się. Zanika. Mówili. Powrót do tamtych spraw, to jest powrót do siebie zmienionego. Tłumaczyli, ja, nowy, teraz, też jestem dla siebie nieznany. To jest stan wyjątkowej niewiedzy. Nie piszę. Ta niewiedza jest moim prywatnym grzechem. Gdybym zaczął pisać, mówili, będzie to niemoralne. Starożytni dokładnie to wytłumaczyli. Mówili. Więc niemoralne. Wszystko jedno jakbym nie próbował pisać o tym, co się dzieje. W tym kraju i w tym momencie nie mam odwagi pisać. Zastanawiali się. Nie wiem, czy o tym w ogóle da się kiedyś pisać. Nie dało się po październiku. Nie dało się po grudniu. Nie dało się po marcu; już mi się jebią te miesiące... marzec był wcześniej... Nie dało się po czerwcu.

Mówili. Tamte miesiące nawet w małym stopniu tak nie zmieniły ludzi, jak ten teraz. Więc jeszcze trudniej. Wielu innych ludzi. Teraz pojawili się nagle inni ludzie. Mówili. Teraz sami ludzie wybrali nowy naród. Ja nie potrafię o tym pisać.

Poruszali się ulicą martwą jak po ewakuacji; szli sobie, a właściwie nie tylko sobie – za nimi marudziły kroki obcego mężczyzny, a więc szli także i dla niego.

Jeden z nich obejrzał się; było to, jakby ułożył swą zmęczoną głowę w ciepłym zagłębieniu ramienia, jakby; obcy mężczyzna opuścił wzrok, przypatrując się z uwagą płytom chodnikowym. Były splekane, jak zmartwiała podczas suszy gleba.

Mżyło.

Obcy mężczyzna trzymał w ręku złożoną na pół gazetę; z jednej strony jaśniało dużymi czcionkami pełne niepokoju słowo wolności i gdy chwycił rozwiewające się skrzydła płaszcza ortalionowego, wyglądało tak, jakby chciał to słowo osłonić przed drapieżną szarańczą wiatru.

– Zobacz, o czym teraz piszą w gazetach. Tylko się odwróć.

– Nie chce mi się odwracać. I wiem, o czym piszą. To akurat nie jest ważne. Już pisali. Czytałem kiedyś.

Z bocznej ulicy wytoczył się wolno samochód osobowy. Na masce umocowana była okutana w biel lalka o ogromnej znieruchomiałej twarzy. Jedno oko, które błyszczało jak w gorączce, pokrywała co chwilę rozdygotana powieka. Drugiego już nie było – musiało wypaść przy jakimś mocniejszym wstrząsie.

– Podobna do spikera z dziennika telewizyjnego.

Za samochodem powiewały girlandy z rozmięklej żółtawej bibuły – falowały łagodnie i samochód płynął wśród nich jak meduza. Wewnątrz siedziała kobieta, okolona tym samym uśmiechem, co lalka na masce, a obok czerniał wyprostowany mężczyzna w garniturze. Niewidzący wzrok miał skierowany przed siebie, a kąciki ust opuszczone w dół, jak u człowieka o porażonej twarzy.

– Długo będziemy jeszcze o tym pisać? Mówił. Zawsze się będą snuć dookoła tylko te historyjki? Ten smutny herbatnik? I ona? Roześmiana.

– Przyjdzie i na niego. Chociaż, jak powiedział Spinoza, kto się śmieje ostatni, to przeważnie nie ma zęba na przedzie. Nie wiem, czy zawsze. Jeśli się nie potrafimy przez to

wszystko przebić, to dożywotnio będziemy robić rewolucję w prozie. Samochód zatrzymał się na żółtym świetle i blade rozfalowane girlandy opadły w błoto jak zużyte bandaże.

Oni postawili kołnierze.

– Ale śląwa.

– Jak w Krakowie.

– Albo w Poznaniu.

– I ten zapach.

– Herbacinę?

– To wejdźmy.

Więc weszli; we wnętrzu kołysał się chłodny mrok, a za barem drzemała kobieta z pożątkłą frędzlą koronki, przypiętą nad wypukłym jak w renesansie czołem. Drgało jej ramię.

– Wszystko wolne. Nie ma gdzie usiąść. – Noto może tu.

Metalowy taboret zgrzytnął o płytę posadzki. Kobieta za bufetem niechętnie uniosła powiekę. – No! – odezwała się w pustkę. – No! Tylko bez rozróby...

– Można?

Kobieta nie odpowiedziała. Chwilę tkwiła nieruchomo na wysokim stołku, jakby odmawiała krótką modlitwę, potem zsunęła się z niego; była tak niska, że zniknęła za barem i tylko przesuwający się nad lastrykową płytą strzęp koronki w jej włosach świadczył o tym, że się porusza.

Gdy zbliżyła się do stolika, jeden z nich odezwał się.

– Dwie herbaty. Odwróciła się.

– W torebkach jest?

– W torebkach, w torebkach... A w czym ma być?

– Z cytryną?

– I co jeszcze wymyślicie? – zapytała z męką. Drzwi uchylły się i do środka wsunął się ten sam mężczyzna, który wędrował za nimi ulicami tego dnia.

Strzepnął gazetą łzawiące się na ortalionie krople, usiadł przy sąsiednim stoliku i zapatrzył się w szybę, za którą puchła niema od wilgoci ściana.

– Przesiadziemy się? Tam koło baru?

– Dobra.

Podnieśli się, przeszli kilka kroków i znów usiedli.

– No to zapalimy.

– No właśnie. Bo rozmawia się jednak najlepiej na wolnym powietrzu.

– Masz zapalniczki? – Gdzieś mam.

Zaszeleścił płomyk zapalniczki.

Podnieśli głowy; obok stał mężczyzna w ortalionie.

– Może ognia? Co, panowie? ...Chwilę patrzyli na niego.

– Ja to właściwie za dużą palę.

– Ja też jakbym coś czuł w miechach.

Odłożyli papierosy, a przezroczyły płomyk zapalniczki ucichł. Mężczyzna ze szklistym popielatym chrzęstem usiadł przy stoliku obok nich.

Zza żółtawej kotary, osłaniającej zaplecze kawiarni, wyszła kobieta z podzwaniającymi szklankami. Spojrzała na nich i zatrzymała się.

– Do tego stolika nie podam. Nie mój rewir.

– Przesiadziemy się na tamto miejsce.

Wstali i z nie zapalonymi papierosami ruszyli za kelnerką.

– Osiem złotego! – powiedziała, stawiając szklanki na blacie.

– Już teraz?

– A w kiedy? Może potem będą ganiała za wami? Tak?

Policzyła monety i wrzuciła je do zwiędłej kieszeni umieszczonej na brzuchu. Gdy przechodziła obok mężczyzny w ortalionie, ten zerwał się i stanął przed nią.

– Gdzie tu jest wuce?

Kobieta po raz pierwszy podniosła na niego wzrok i odpowiedziała szybko, u nas nie ma, niska kategoria, nie ma, to co podać dla pana.

– Kawka.

– Ale tylko ta franca kolumbijka...

– Może być. Mała kawka.

Oni patrzyli jak mężczyzna znów idzie przez salę w ich kierunku i zajmuje swój poprzedni stółek.

– Słodzisz?

– Nie ma cukru.

– To dobrze. Boja też nie słodzę. Wypili po łyku.

Mężczyzna rozłożył gazetę, zasłaniając się, i wtedy jeden z nich zobaczył przy słowie wolności drugie słowo; dwa wyrazy ułożyły się w tytuł gazety Żołnierz Wolności.

– Marna ta herbata.

– Nie zaparzyła się. Za zimna woda.

– No to chyba pójdziemy.

Zapalili papierosy, wstali, po drodze minęli się z kelnerką, która niosła szklanekę, wypełnioną do połowy żółtawą kawą, jeszcze raz popatrzyli na tych kilka stolików, na bar z lastrykową nagrobną płytą i wyszli na ulicę.

– Zaczekamy chyba chwilę, nie?

– Akurat spalimy...

Stali w milczeniu, otoczeni wilgotnym, napuchniętym dymem. Nad ich głowami uganiały się w powietrzu szare gołębie. Patrzyli na nie.

Potem jeden z nich odrzucił peta na jezdnię; któryś z gołębi z trzepotem osiadł na asfalcie koło tego tłącego się ogarka, próbując chwycić go dziobem i już nie zdążył się unieść przed pędzącym samochodem – to ociężałe powietrze nie dało skrzydłom oparcia.

Usłyszeli jak błotnik trzasnął podrywającego się ptaka, zawirowała garstka pierza; samochodu już nie było.

Gołąb leżał na jezdni z rozłożonymi bezradnie skrzydłami i naprawdę obejmował nimi bardzo niewiele miejsca.

– Zobacz! Ten drugi go dyma.

Ujrzeni innego gołębia, który ze zjeżonymi piórami wczepił się w grzbiet martwego ptaka. Przemknął inny samochód; oszołomionym samcem targnęło poruszone powietrze, ale nie porzucił zdobyczy.

– Niesamowite...

Popatrzyli na siebie.

– Niesamowite. To co? Będzie moje? Ja to opiszę?

– Dlaczego akurat ty? Wspólnie widzieliśmy.

– To może rzucimy monetę?

– Albo ty napisz i ja napiszę. Razem to opiszemy. I tak będzie różnie wyglądać. Może być?

– Dobra. Możemy razem. Jest to jakiś temat. Szkoda by było.

Usłyszeli za plecami odgłos cicho zamykanych drzwi. Ukazał się mężczyzna w ortalionie; w rękę trzymał złożoną na pół gazetę; z jednej strony czerniało dużymi czcionkami pełne niepokoju słowo żołnierz.

– No? Możemy już ruszać – powiedział jeden z nich.

– Możemy – odpowiedział drugi.

... ulicą martwą...

Kraj obraz

... Kobieta szamocze się z drzwiami budki telefonicznej i krzyczy w słuchawkę, nie mogę jutro wyjechać do matki, bo przez dwa dni będę jeszcze zajęta i muszę poza tym iść jeszcze do lekarza...

Nagle milknie, osłupiała, bo obcy głos przerywa jej stanowczo; przypominam, że należy mówić otwarcie, prostymi zdaniami.

Kobieta wybiega z budki, zatrzymuje się, rusza i po chwili wchłania ją mroczne wejście kościoła. Tam opada na ławkę, tonie w woskowej ciszy i dopiero teraz żegna się prędko i zabobonnie; potem tkwi długo, przycupnięta.

W bocznej nawie, przy wielkanocnym grobie, modlą się bez słów ludzie; bezsilny Chrystus leży na pryczy więziennej, a przy nim, na wiązce siana śnieg białych serduszek z kartonu; na tych serduszkach dzieci wypisywały swoje najlepsze wielkanocne uczynki; ustąpiłem miejsca w tramwaju, dostałem dobry stopień w szkole, pomogłam niewidomemu przejść, pozmywałam za mamę naczynia, przestałem używać brzydkich wyrazów, ustąpiłem miejsca w autobusie, przestałam raz na zawsze kłamać, stałam za mamę długo w mięsny, postanowiłem się dobrze uczyć, będę zajmował się małym bratem, pomogłem starszej osobie przynieść węgiel z piwnicy, ustąpiłem miejsca chorej, podzieliłam się z koleżanką pomarańczą...

Kotna mysz

By dosięgnąć radia, musisz najpierw pomyśleć o tym, że chciałbyś dosięgnąć, a potem długo zbierać siły i wreszcie zmusić oporną rękę do tego zadania.

Powoli wysuwasz dłoń z kłębka ciepła, które zebrało się u boku; wystawiasz ostrożnie palce poza obręb kołderki i natychmiast czujesz, jak obsiadają ją liczne owady chłodu.

Dłoń wędruje naprzód, jest coraz dalej i teraz nie należy już do ciebie; sama kieruje się w stronę odbiornika – na moment spoczywa na szczyrzących się klawiszach.

Wreszcie wskazujący palec wykonuje tę ostatnią czynność; dłoń z ulgą wraca na swoje dawne miejsce i zasypia w gnieździe ciepła.

Radio odbiera tylko drugi program; na początku długo panuje cisza; jest tak przenikliwa, że masz już zupełną pewność; tym razem radio się do ciebie nie odezwie.

Potem zaczyna się jarzyć zielenią magiczne oko, pokryte ustępującym teraz bielmem.

Przez gruby, zdławiony kurzem materiał, opinający głośnik, opornie zaczynają się przedzierać jakieś głosy; są dalekie, ale słyhać je coraz wyraźniej; jest to audycja muzyczna dla dzieci i ten, który ją prowadzi, podaje najpierw temat, wystukując melodię na klawiszach fortepianie, a potem wszyscy, mechanicznie i nieskładnie, jak uszkodzone blaszane zabawki, powtarzają pierwszą zwrotkę; wśród tych głosów przebija się ten niski zdecydowany przywódcy.

Chłód wypelza spod parapetu; dokładnie okrywasz się króciutką dzieciinną kołderką, którą zastałeś w tym wynajętym łóżku i słyszysz słowa pieśni, z wysiłkiem płynącej przez głośnik.

– dzień błękitny wędruje po niebie
słońce idzie drogą twą
twoja ziemia chce liczyć na ciebie
przecież rosłeś razem z nią

Dziecięce głosiki powtarzają niepewnie słowa, podmuchy wiatru wybrzuszają firankę, mimo, że okno nie było otwierane od jesieni, a kłęby waty, poutykane w szparach, dawno stały się szare i wyglądają teraz jak plwociny.

Dzień błękitny wędruje po niebie, słońce idzie drogą twą, śpiewa mężczyzna solo; słyhać jakieś odgłosy za wysokimi drzwiami, obsypanymi krostami farby, a potem cisza, i znów kroki; ktoś zatrzymuje się na korytarzu; słyszysz, że nasłuchuje; potem szybko porusza się język klamki i drzwi w zaśpiewie zawiasów otwierają się; w żółtawym prostokącie futryn pojawia się ta czterdziestoletnia kobieta.

No, tak, mówi i przerywa, albo to myśl opuszcza ją; podchodzi do pieca, otwiera drzwiczki i zaczyna dzwonić pogrzebaczem po sterczących żebrach rusztów.

Jest odwrócona i gdy się pochyla, by zajrzeć w zimną czelusć, widzisz ciepłe zagłębienie między jej udem, a łydką, które przypomina zaciśnięte bezzębne usta staruszki. Odslania je uniesiony szlafrok.

– To może zawezwąć lekarza z ubezpieczalni... czy jak...

Nie odpowiadasz, bo szkoda ci tych zziębniętych słów, które niczego nie mogłyby wyjaśnić, ale udaje ci się wykonać dwa razy ruch głową; ma on oznaczać zaprzeczenie i kobieta rozumie tę głowę właściwie; więc tylko bezradnie wzrusza ramionami; w pracy takiej choro-

by nie uznają bez zwolnienia od lekarza, musi być elcztery, nie wrócę do tej pracy, słyszysz nagle ze zdziwieniem swój głos; ona podnosi wzrok.

– Każdy musi pracować...

– Właśnie o tym mówię – słyszysz odpowiedź.

Ona wychodzi z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi; widać ciężarną ciemność korytarza, w którą toczą się teraz cynowe słowa piosenki, jeszcze niezdarnej, ale brzmiącej z coraz większą mocą.

– dzień błękitny wędruje po niebie
słońce idzie drogą twą
ziemia chce liczyć na ciebie
przecież rosłeś razem z nią –

Pieśń ginie w zatęchłym mroku; znów słyszysz kroki i ten mrok nagle się rozjaśnia, żarzy się, jakby po parkiecie kulała się płonąca obręcz.

Pojawia się kobieta; przed sobą niesie w wyciągniętej ręce monstrancję – na blaszanej łopacie poruszają się pulsujące płomykami węgle, które odebrała przed chwilą ze swojego pieca.

Wchodzi do pokoju; węgle, z jazgotem nikną we wnętrzu i cichną. Stłumione chłodem przygasają.

Ona odkłada łopatkę, zatrząskuje drzwiczki, mocno je zakręca i odwracając się, jedną ręką łowi na wolnych piersiach rozproszony szlafrok, a drugą klepie lubieżnie lodowate kafle.

– Zaraz będzie ciepłutko...

– Bardzo dobrze – słyszysz głos mężczyzny. A teraz chciałbym usłyszeć dwie pierwsze linijki drugiej zwroteczki.

– kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę
kwitną kwiaty białe i czerwone

Szeleści bezduszny głosik dziecka.

– Zrobić herbatę – mówi kobieta.

Patrzysz na mętne jak formalina kafle pieca, tak, jak by się dało, to by było dobrze, odpowiadasz.

Ona ma włosy związane z tyłu chłodną fioletową tasiemką.

Przemykasz oczy, by nie patrzeć na ślubny portret, który wisi nad legowiskiem; jest to czarnobiała fotografia i tylko usta obojga pociągnięte są wampirzym karminem; w rozchylnych wargach pełzają wśród lśniących zębów zasuszone uśmiechy.

Klawisz w głośniku wystukuje temat pieśni, a potem rozbrzmiewa postrzępiony chór.

– kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę
kwitną kwiaty białe i czerwone –

Unosisz powieki; kobieta stawia na krześle zmętiałą szklanekę, kładzie na kołdrze gazetę i przysiadła obok niej.

– Dzisiejsza – mówi.

– Zaczekam, aż przestygnie. Żebym mógł popić ten proszek. Bo inaczej mi nie przejdzie.

– Proszki nasenne są szkodliwe.

– Przecież nie zasypiam po nich.

Ona przegina się i brutalnie wyłącza radio. Jej wzrok snuje się po zakurzonych narożnikach pokoju i tam szuka jakiejś zabłąkanej myśli. Potem wciąga do płuc gałązkę powietrza; jej piersi wędrują w górę i w dół, pisząc cieniem na ścianie pierwszą literę alfabetu.

Wiesz, że odezwie się teraz.

– A wczoraj stałam w delikatesach siedem godzin za śledziami i jakiś stary nie przetrzymał i odwalił kitę i przyjechało pogotowie i już było po ptakach. No więc go nie zabrali, bo nie mają składu, tylko kazali wezwać budę. Ktoś mu przykrył twarz trybuną ludu i tak leżał jak pierwszy sekretarz. Nie będę mogła jeść tych śledzi.

Ujmujesz gazetę i odgradzasz się od niej delikatną koronką czcionek.

– Można popatrzeć?

– To już lepiej na głos – mówi ona. – Ja mogę ostatecznie poczytać. Tylko że pierwsza i druga strona była wczoraj w telewizji. O elementach antysocjalistycznych.

– No to ze środka... – odpowiadasz z trudem.

– O. Tu jest wywiad z Ryszardem Gontarzem. Kto to jest ten Ryszard Gontarz... aha, tu jest napisane... publicysta i dramaturg.

– No właśnie.

– ...I dramaturg. Widziałam niedawno, w warszawskiej Cytadeli, piękne widowisko z okazji rocznicy urodzin Feliksa Dzierżyńskiego. Był pan autorem scenariusza. Jak doszło do tego, że zajmując się do tej pory w swej twórczości wyłącznie współczesnością, sięgnął pan po temat historyczny? To pytała Anna Kłodzińska. Teraz odpowiedź. W opinii ogółu Feliks Dzierżyński, to postać jakby ze stali, nie podlegająca żadnym wahaniom, żadnym ludzkim słabościom. Chciałem go przedstawić nie tylko w tych wielkich wymiarach, ale także jako człowieka niezwykle wrażliwego, czulego romantyka. Stąd tytuł, romantyk i rewolucjonista.

Ona zasłania się przed tobą błoną gazety, za oknem rzadnie już światło, dzień chyli się ku upadkowi; nie widzisz jej, ale czujesz teraz jak skłania się, opierając na łokciu; jej piers przycupnęła na twojej stopie i otula ją ciepłem.

– Może coś innego – szepce kobieta. – Może wiersz. Tu jest wiersz. Kącik poetycki. Bohdan Chorażuk – grzechoczą cicho groszki słów.

mamy my kopalnię złota
komitet centralny
niebywały zapas potu
zespół idealny

– ...nie, to się nie nadaje... – mówi zawstydzona.

Odkłada chłodne stronicę, milczy; płomyki jej palców pelgają po twoim kolanie.

– Tu jest o podróżach. Pod wieżą Ajfla na ulicy Widok. Kolorowe zdjęcia na tle wieży Ajfla, Łuku Triumfalnego lub egipskich piramid bez opuszczania ojczystego kraju. Takie zdjęcia zapowiada spółdzielnia Polifoto w swoim nowym zakładzie, który zostanie wkrótce uruchomiony przy ulicy Widok. Odpowiednie tło i właściwe upozowanie osoby fotografowanej sprawi, że zdjęcia będą sprawiały wrażenie wykonanych w autentycznych plenerach. W związku z koniecznością odpowiedniego przygotowania tła i modelu, wykonanie fotografii będzie trwało około pół godziny...

Ona przestaje czytać i nie odsłania się, a ty wyciągasz rękę; chwilę błądzisz wśród grudek powietrza i wreszcie znajdujesz ten kształt; naciskasz i znów słyhać stłumione głosy.

– a w oddali jak Polska szeroka
płoną ognie młodych serc –

Jej dłoń posuwa się teraz wyżej – wysoko; słyszysz szelest tej dłoni; kobieta opiera głowę na twoich kolanach i czujesz rozpaczliwe migotanie tętnicy w zagłębieniu jej szyi; ona mówi coś matowym szybkim głosem, który wygasa.

Ty jesteś daleko, widzisz siebie, ostrożnie obmacujesz się wzrokiem, badasz bez zdziwienia. Za oknem słychać kroki; kobieta prostuje się, nie cofając jeszcze ręki, to mój wraca z roboty, odzywa się, po chodzie poznaje.

Podnosi się wolno i pełnym znużenia gestem przysuwa ci szklanke. Widzisz chłodną fioletową tasiemkę, która spina jej włosy.

Drzwi zamykają się z cichym westchnieniem, a potem jak przez mgłę słychać dwa metaliczne kłaśnięcia otwieranego zamka.

Unosisz się na łokciu, z celofanowych łupinek wyłuskujesz proszek nasenny. Wkładasz go do ust i popijasz wyblakłą herbatą.

Z korytarza słychać głosy, które balansują jak na linie, potem wszystko cichnie i przez szczelinę między ciemnością a światłem, wsuwa się do pokoju ta spłoszona czterdziestoletnia kobieta, takich dwóch panów przyszło z komitetu i mówią, że przyszli się dowiedzieć, czemu pan już czwarty dzień nie przychodzi do pracy i czy pan nie chory, no i chcą się widzieć, tam czekają.

Siadasz na posłaniu, kołderka osuwa się z piersi, ale oddychać wcale nie jest łatwiej.

– No więc... to znaczy... nie mogą tu... nie zgadzam się, żeby wchodzili. Proszę im powiedzieć, że ja nie chodziłem do pracy, bo przez cztery doby zżerałem tę swoją czerwoną książeczkę, kartka po kartce, każdy znaczek ze składek, każdą pieczętkę, swoje nazwisko, fotografię, no i że najgorzej było z okładką, bo twarda, ale zżarłem I ją dokładnie i teraz będę to do końca życia trawił i nigdy nie strawię... ani tych okładek, ani tego koloru, a już na pewno swojego pożartego nazwiska. Więc muszę to wszystko trawić i już nie i będę miał czasu, żeby pójść do roboty. No i niech sobie radzą beze mnie i niech wracają tam, skąd I przyszli. Nie ma mowy, żeby tu wchodzili... i won...

– Tak im powtórzyć? – pyta zalekniona.

– Dokładnie tak.

Ona odwraca się powoli i słyszysz jej szept; powtarza sobie, by nic nie pomylić, nie chodził do j pracy, bo przez cztery dni zżerał tę swoją czerwoną książeczkę, kartka po kartce, każdy znaczek ze składek, każdą pieczętkę, swoje nazwisko, fotografię, no i że najgorzej było z okładką, bo twarda, ale zżarł ją dokładnie i teraz będzie to trawił do końca życia i nigdy nie strawi, ani tych okładek, ani..., odgradza cię od ciemności skrzydłem I drzwi.

Nastawiasz głośniej radio, które odbiera tylko drugi program i otulasz się dziecinną kołderką.

– A teraz cała zwrotka. Tylko równo!

Wokół pudła migoczą szkiełka kurzu, z głośnika sypie się głos.

– kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę
kwitną kwiaty białe i czerwone
a w oddali jak Polska szeroka
płoną ognie młodych serc –

Czujesz jak się osuwasz, jak pierwszy raz od twoich własnych stu dni myśli ci maci blekot snu, jak się osuwasz, stajesz się sypki, stygnie stukot suchego serca, spadasz...

Kraj obraz

... Samoloty, które startują z tego lotniska ku wschodnim stolicom, lądują czasem na końcu świata, w pobliskim Berlinie Zachodnim.

Samolot, w którym niebawem uprowadzi się tych kilku zgaszonych ludzi, wylądaje we Frankfurcie; będą czekać w pobliżu tego miasta na kolejny lot i zanim nie osiądą bezpowrotnie na ziemi amerykańskiej, żaden z nich nie nazwie siebie emigrantem.

Będą czekać na ten kolejny lot i niejedna butelka po rosyjskiej wódce wyfrunie przez okno bogatego pensjonatu.

– Dzwonił wczoraj do mnie jeden kumpel, żebym zabrał woreczek dwudziestozłotówek, bo pasują do automatów z różnymi rzeczami, jako pięciomarkówki, czy tam dwumarkówki, a im się już skończyła polska waluta. On chyba ocipiał, ale ja przecież słyszałem wyraźnie jego głos.

Za chwilę skończy się odprawa pasażerów i kobieta wpatruje się teraz z wysiłkiem w twarz mówiącego; potem będzie ją rozpoznawać tylko na kolorowych kodakowskich odbitkach.

Tych kilku ludzi, których niebawem uprowadzi samolot, udaje spokój; zaciskają spotniałe palce na nieznanym dotąd książeczkach paszportowych...

Podróż

Drzwi windy zostały zamknięte nagle jak usta w pół słowa; wewnątrz był tylko on i strzęp tej kobiety, wczepionej w odrapany bordowy stołek; kobieta drzemała, opierając głowę o chłodną ścianę kabiny, a on milczał i czuł jak ogarnia go spokój.

Kobieta drzemała, patrząc na niego zamglonym wzrokiem. Jej półotwarte powieki drgały jak płatki akacji.

Ten spokój nie wywoływał w nim zdziwienia; spodziewał się go i oczekiwał jego łagodnej fali od tej pory, kiedy pomyślał o pałacu po raz pierwszy; wychodząc kiedyś z dworca, podniósł wzrok i zobaczył tę bryłę, wylaniającą się z nadrannej mgły; wyglądało to tak, jakby na środku olbrzymiego placu nawał złośliwy Stalin; przypomniał sobie też wtedy, że za kilka złotych można wjechać aż na sam szczyt.

Teraz stał w tej niewielkiej klatce i czuł jak ogarnia go spokój.

Dłoń drzemającej kobiety uniosła się niechętnie w stronę dźwigni, podłoga zaczęła naciskać stopy; on podniósł głowę i ujrzał, jak w szarych kratkach, umieszczonych nad drzwiami, zapalają się jedne po drugich cyferki z kolejnymi numerami pięter.

Trzymał rękę w kieszeni i dotykał palcami obłego kawałka blaszki, którą dał mu szatniarz, tam, na dole, gdy oddawał kapotę; numerku nie trzeba, powiedział do jednorękiego mężczyzny, kładąc tę kapotę na marmurowej płycie, jak to nie potrzeba, coś pan, popatrzył na niego jednoręki człowiek; jak ja potem wydam obkrycie zwierchnie, niby jak; zniknął na moment za parawanem martwych parujących ubrań, a potem rzucił mu tę blaszkę; potoczyła się po śliskim kamieniu i z brzękiem spadła na posadzkę; nie chciał przedłużyć tej rozmowy – czekał niecierpliwie na spokój, który miał niebawem nadejść; schylił się szybko, podniósł ją i schował do kieszeni; teraz wyczuwał ją palcami.

– Pani dawno jeździ tą windą – odezwał się do kobiety, która jak czarny pająk, obłany wrzątkiem, drgała na swoim miejscu.

– Jak to dawno? – powiedziała do siebie, nie mogąc zrozumieć pytania. – Jak to dawno. Od zawsze. Całe życie. Od zawsze.

– I nie znudzi się pani.

– Jak to znudzi. Robota jest rozmaita. Raz się do góry jadzie. Drugim razem znowuż do dołu. Raz się jadzie na trzydzieste drugie. Drugi raz na jedynaste. Jest ta rozmaitość.

Podłoga windy nacierała równomiernie na stopy; on milczał, przyglądając się ciągle okienkom z numerami pięter; z każdym kolejnym piętrem był coraz wyżej, coraz dalej, coraz bliżej.

– I w ogóle cztery lata temu, na święto kobiet, to nadgrode dali, bezzwrotną, dwieście złotych. Ale sprawiedliwości ni ma. Tamtej franczy, co jeździ na drugą zmianę, dali dwieście trzydzieści. Ni ma sprawiedliwości – odezwała się nagle kobieta w pustkę. Potem podniosła na niego królicze od braku snu oczy, porysowane czerwonymi żyłkami i on przez moment widział w tych oczach rozpacz i nienawiść; potem znowu objęły je powieki.

Jego nie bolały już żadne myśli. Palce wyszukały teraz w zagłębieniu kieszeni podłużną karteczkę; był to bilet powrotny, który musiał kupić tam, na dole:

– Jeden bilet na górę. Na taras. W jedną stronę.

– Jakże w jedną stronę! – popatrzył na niego kasjer, a ramię podrygiwało mu co chwilę tak mocno, jakby chciał sobie nim zatkać ucho. – Będziesz pan schodami wracał z atrakcji? Tyli świat? – Tak. W jedną stronę.

– Ni ma w jedną stronę. Są tylko powrotne. W jedną stronę to na tramwaj możesz pan kupić. A nie u nasz na atrakcję. Na tramwaj – powiedział i zarzęził gwałtownym śmiechem i długo nie mógł się uspokoić, głaszcząc sobie ramieniem policzek.

Palce zaczęły teraz miąć tę karteczkę, ugniatać, strzępić, Robiły to odruchowo; on nie zwracał na nie uwagi.

Ściany windy porysowane były datami, inicjałami, nazwami miejscowości, byłem tu, w tej windzie straciłam cnotę z Lisem, my z ZMP nie boimy się, Gomułka jest fiucisko, nauczycielka z Nysy, krakowiaki to są chuje nie Polaki, Babiuch jest piękny, oddajcie Po prostu, lepszy Kania niż Wania, kocham Robaszekiewicz Marychę, parowa z Koszalina, nie ma druha, bo rucha, Danko rób co, bo cię zdupcą, zabrał mięsko zabrał serek imię jego Edward Gierrek, KPN to kurduple... Niektóre słowa pisane były długopisem, inne wydrapane ostrymi przedmiotami.

– Kiedy oni to robią? – zapytał i powiódł paznokciem po koślawym kształcie wrytego serca.

– Nie upilnuje. Jak się człowiek zdrzymnie, to od razu wyciągają jakiegoś goździa i ryją. Najgorzej jak coś na ustrój. Bo potem do mnie się o to dopierniczają. Tak, jak ja bym była winna, że taki ustrój. Nie upilnuje człowiek. Każden jeden chce jaki ślad zostawić na pamiętko.

– Ja na przykład nie chcę.

– Taaak? – zaśmiała się, nie wydając głosu. Bo na ręce patrzę. Każden chce. Ale jak się do mnie dopierniczają, to ja zwalam na tamtą francę z drugiej zmiany. Cztery lata temu, na święto kobiet, to nadgrode dali bezzwrotną, dwieście złoty. Ale sprawiedliwości ni ma. Tamtej francy, co jeździ na drugą zmianę, dali dwieście trzydzieści...

Podłoga windy nieznacznie zmniejszyła ucisk na stopy. On był już wysoko i blisko. Krzaczasta dłoń kobiety powędrowała ku dźwigni.

Podniósł wzrok; zapłonęło życzliwie jego ostatnie okienko z numerem piętra i na tym stanęło. – No i tak – powiedziała kobieta.

– Była pani kiedyś na tarasie?

Jej zdziwione powieki odsłoniły na moment dwoje oczu, spękanych jak kulki marmuru.

– A na cholere mnie to. Tam wicher, cugi straszne. Żeby mnie łeb urwało?

– Ja wiem? Żeby zobaczyć...

– Tu mam dobrze. W cieple. Ale sprawiedliwości ni ma...

Drzwi windy rozsunęły się z sykiem.

Umilkła w świetle osłabła żarówka.

On czuł coraz większą ulgę i ulotną lekkość, ale odwrócił jeszcze głowę i popatrzył na zmartwiałą kobietę.

Milczała nieruchomo.

Cofnął wzrok i ruszył.

Minął załom strzelistego korytarza i wtedy uderzyło go światło.

Znienacka odezwała się przestrzeń.

Nie patrzył; nie widział łakomych obłoków mgły, tłoczących się wokół, nie słyszał stłumionych odgłosów dołu.

Ruszył i zatrzymał się. Miał opuszczone powieki; niczego nie oczekiwał.

Taras, targany podmuchami deszczu, był pusty.

Zrobił kilka lekkich kroków i raz na zawsze zapomniał o wszystkim. Tylko stopy odczuwały nieprzerwany pracowity puls podłoża.

Poczuł kamienny dotyk – to wilgotna bariera zatrzymała go jeszcze na jeden krótki moment.

Wtedy znowu otworzył oczy.

Taras był rozległy. Nie znajdował się na ostatnim piętrze, a strop nad nim podtrzymywały ciężko betonowe kolumny.

Kiedy popatrzył uważnie, zrozumiał, że między tymi kolumnami, barierą i stropem, rozpościera się szczelnie stalowa, połyskliwa, nieprzenikniona siatka. Zauważył jasne, przezroczyste płomyki skroplonej na metalu mgły.

Stał, znieruchomiąły i wpatrywał się w tę siatkę.

Napłynęła niska chmura, ogarnęła go białą lepką ciszą, ale nie mogła go unieść w przestrzeń. Stalowa siatka nie pozwalała na to, a on, zanurzony w tej chmurze, stał i znowu moczolnie przypominał sobie o wszystkim...

Kraj obraz

... Ten psychiatra bez jednego jęku wlewa w rozchylone usta szklanę wódki i mówi, siwieję z prawej strony, nieproporcjonalnie.

– Zwalniam się z pracy, zmieniam zawód. Szklanka przed nim jest znowu pełna, kryształowa kropla pęka na krawędzi; już nikomu nie mogę pomóc jako lekarz, siwieję od tego z prawej strony, nieproporcjonalnie; pacjent mi mówi, śledzą mnie, panie doktorze, nigdzie nie jestem sam, mówi, gdzie się nie ruszę, są; w domu założyli podsłuch i na dodatek podsłuchują mnie przez telefon, tak, że przestałem dzwonić, nawet listy mi kontrolują, nawet pocztówki czytają, wszystko, a jak wyjdę na ulicę, to chcą mnie otruć gazem; oni mnie po prostu chcą zagazować; wszędzie są; a ja siwieję od tego z prawej strony i mam mu ochotę odpowiedzieć, że u mnie występują takie same objawy, dokładnie takie same, że to tylko taka niewinna mania prześladowcza, która minie, że łatwo z niej wyleczyć i żeby się nie przejmował; obaj się z tej manii wyleczymy; wczoraj miałem dyżur w pogotowiu i zawieźli mnie do nieudanego samobójcy, to był działacz, który się ukrywa od miesięcy i już mu wysiadły nerwy; pokaleczył sobie niegroźnie żyły, ale ja wiedziałem, że on jutro, czy pojutrze potnie się skutecznie; to nieuniknione, i z karetki, z radiotelefonu, zadzwoniłem na milicję i zameldowałem, bo to więzienie, to jedyny ratunek dla niego i terapia; powiedzieli, że już po niego jadą i podziękowali, a ja wtedy zrozumiałem, że to ostatni dzień mojej pracy w tym zawodzie; bez jednego jęku wlewa w rozchylone usta szklanę wódki, przykładła do włosów chłodne szkło...

Nie słycać kroków wśród wierzchołków drzew

Ten opustoszały plac z ogołoconym drzewem po środku, które tkwi nieruchomo, bo oszukańcze podmuchy wiatru nie znajdują oparcia w rzadkich gałązkach.

Niebo nad tym placem jest popielate i zastygłe w przestrzeni, tak jakby odbijała się w nim wygasła cząstka tej planety.

Rząd słupów, które płoną od zmierzchu, aż do powolnego świtu; rząd słupów ze szronem światła; każdy z nich odziany jest w koronę cierniową – to stalowa obręcz z ostrymi kolcami, skierowanymi w dół; umocowana jest na wysokości, na wysokości podniesionych rąk i gdyby któryś z więźniów, ogarnięty szaleństwem, chciał się wspiąć ponad płaskie dachy, to niechybnie wybiegną mu na spotkanie.

Szeregi baraków; w oknach lśnią bezmyślnie kraty; baraki są wszędzie, na wszystkich krańcach tego niezbyt rozległego świata; od placu odgradza je wysoka siatka, zwieńczona kolczastym drutem.

Plac jest opustoszały; jeszcze niedawno na niewielkiej pętelce ścieżki krążyli ludzie; mgła oddechów i ciszy unosiła się ponad niepostrzeżenie, buty wzniecały kurz śniegu, płochliwe minuty spaceru umykały.

Było ich dwudziestu, może trzydziestu. Kilka cel.

Strażnicy, którzy prowadzili ich nienawistnym wzrokiem, kulili się w ostrych oparach chłodu; jeden z nich skrył się za metalową siatką; nie zasłaniając widoku, dawała mu odrobinę ciepła.

Tamci krążyli w świetle i w milczeniu. Buty wzniecały kurz śniegu, krótkie minuty spaceru umykały śpiesznie.

Znaleźli się tutaj po to, by spokojnie mogła się toczyć wojna.

By mogła wybuchnąć feralnego grudniowego dnia, należało wyznaczyć wrogów. By tego dnia rozpocząć bój, bój od tyłu lat ostatni, trzeba było znaleźć armię przeciwnika.

Na przeciwnika wyznaczono ich, także ich. Ale zanim ich uprzedzono, że wojna się rozpoczęła, stali się jeńcami. W tej wojnie najpierw wzięto jeńców. Dopiero potem ją wypowiedziano. Zanim wyruszyły czołgi, by przetoczyć się przez place miast, jeńcy byli już za murami, nad którymi górują wieżyczki z uzbrojonymi strażnikami.

Jeńców wzięto przed walką.

Tych, którzy krążyli jeszcze niedawno na wodzy czujnych oczu, wymyślono po to, by mogła trwać wojna.

Na tę wojnę wyznaczono także poległych. Poległych nie wymyślono. Ich krzyże są prawdziwe, tak jak prawdziwe są krzyże walecznych.

Ten opustoszały plac z ogołoconym drzewem. Osypie się jeszcze kilka kruchych minut i strażnicy wyprowadzą następną grupę. Potem będą się kulili w ostrych oddechach chłodu, a jeden z nich skryje się za metalową siatką, która nie zasłaniając widoku, będzie mu dawała odrobinę ciepła.

Jeńcy będą krążyć w milczeniu, w odległym domu rozbudzi się raptem kobieta. Strażnik obejrzy się podejrzliwie.

Wojna trwa; za murem ożywa we wstającym świetle las, ale nie słycać kroków wśród wierzchołków drzew.

Kraj obraz

... Zimne ściany domów pokryte są plastrami stalowej farby, która więzi hasła, wypisane w poprzedniej epoce.

Ci ludzie pomykają nocą z kubelkami kolorowej farby i likwidują te szare wyrzuty sumienia, które ciągle przypominają, co się pod nimi kryje.

Szybkimi ruchami pędzli malują teraz koślawe domki, zawieszają nad nimi żółte słoneczka, ścieżki zaludniają bezkształtnymi figurkami ludzi o maleńkich głowach.

I gdy wstaje boleśnie ranek, jest tak, jakby niesforne dzieci upiększyły niepostrzeżenie mury swego ukochanego miasta.

Ogłupiały wzrok człowieka, wyplutego przez autobus, zatrzymuje na moment obraz wesołego krasnala; mężczyzna otrząsa się, ociera dłonią czoło i tym nieostrożnym ruchem zmiata z głowy zbyt luźny beret. Gdy go podnosi z kurzu, to tak, jakby się klaniał do ziemi przed przechodzącym; chwytą go teraz za rękaw i błagalnie zagląda mu w oczy.

– Panie. Panie. Którędy do Stanów Zjednoczonych?

– A. Gdzieś tam. Na prawo i gdzieś tam prosto. Nie obciągaj mnie pan rękawa. Gdzieś tam w lewo i prosto.

– Ale jak? Bo teraz, to ja już jestem głupi.

– A. Panie...

Biała noc

Dzień jest mroźny; cierpki mróz kruszy kolce powietrza.

Grudniowy dzień jest luty, twardy, ruski.

Dzień jest oczywisty, ale ten człowiek zatrzymuje się nagle pośród opłatków śniegu i znów nie może uwierzyć; jak to możliwe, powtarza, jak to możliwe; splachetek postawionego kołnierza przymarza mu do policzka, to jest niemożliwe, znowu wojna; oddech wiatru rozsiewa białą kurtynę, zza niej wyłania się akwarium przystanku autobusowego; stadko osamotnionych ludzi patrzy na tego człowieka; jak to możliwe, znowu wojna; co ja powiem w domu, co ja im dam jeść, znowu wojna, a ja nie mam dobrej kenkarty... znowu...

Ludzie patrzą na tego człowieka; wokół jego głowy wiruje niecierpliwie rój białych płatków; przestępują z nogi na nogę, jakby szukali między sobą ciepła; szklana ściana za ich plecami dźwięczy i drży – przyklejono na niej twardy wyrok; obwieszczenie o stanie wojennym. Teraz te trzy słowa były przekreślone, a czyjaś pamiętliwa ręka dopisała nad nimi: Bekanntmachung.

Na szklanej ścianie akwarium inne zdania i wyrazy; wygląda to tak, jakby toczył się tu jakiś pojedynek; telewizja kłamie, PRL – prywatne ranczo Leonida, KOR – Żydy, żądamy rejestracji Solidarności bez zmian w statucie, Katyń pomścimy, RWPG – Rosji wszystko, Polsce gówno, KOR – szpiedzy bońscy. Na bocznej ścianie pęczniało z godziny na godzinę inne zdanie; na początku czerniło się tylko kilka słów, wrona orła nie pokona; potem dodawano do nich kolejne; wrona skona, nim orła pokona, pierwszej skona wrona, nim orła pokona, pierwszej skona pierdolona wrona, nim orła pokona...

Trzeba ostrożnie, ostrożnie, powtarza tamten człowiek, trzeba ostrożnie, w każdej chwili może być łapanka, w każdej chwili... nie ma śmichów... to jest wojna...

Ludzie patrzą na tego człowieka, wojna, wojna, mamrocze któryś, wiadomo, że wojna; wcześniej, czy później musiała być wojna, niby jak długo oni mieli jeszcze czekać, czerwone pająki jedne; trzydzieści parę lat temu postawili nam ultimatum, tak albo tak, wóz albo przewóz, albo rybki albo pipki, albo komunizm i morda w kubeł albo wojna i wybierajcie... no to jest wojna...

Ale swojak swego, swojak swego... jakże... swojak swego, szepcze zbielełymi wargami kobieta; jaki swojak, najpierw by im trzeba kołnierzyki do tych rubaszek poprzyszywać, żeby byli swoi, kurna ich mana, w kibini mater. Kołnierzyki!

– Co to za ludzie... co za ludzie... ale mówią, że ojciec jednego z tych wysoko postawionych w Katyniu zginął... patrzcie państwo... a syn się tak wyrodził...

– W Katyniu zginął... Nie zginął, tylko się zabił. Uchlał się i spadł z wieżyczki strażniczej. Jak pani słucha, to niech pani dobrze słucha...

Mogą się zacząć rozmówki, odzywa się cicho tamten samotny człowiek; przecież mogą się zacząć rozmówki; podmuch wiatru wciska te słowa w załom muru.

– W ten tam sterczy i sterczy – odzywa się ktoś z akwarium – spicznieje na tym mrozie na śmierć. Panie. Popod dach pan chodź. Popod dach.

Usta poruszają się, ale zdrętwiałe od chłodu szkło nie przepuszcza słów; panie, popod dach pan chodź, cieplej tu, powtarza ktoś i stuka palcem w szybę; tamten człowiek, przesyty dźwiękami, kuli się nagle zmartwiały; na moment osłania go bielmo wiatru; po chwili powietrze znów przejrzało, ale człowieka już nie ma; wchłonęła go zbawcza brama.

Ludzie w akwarium ubijają stopami śnieg.

– Wiosna będzie nasza – odzywa się ktoś. Taki napis widziałem, jak żołdacy ścierały z czołgu, zima wasza, wiosna nasza, jakiś szczeniak im to wymalował i ścierały. Wiosna ma być nasza... podobno...

Słowa przymarzają do szkła, płatki śniegu płyną w kołysce wiatru, twarz młodej kobiety budzi się w kołnierzu.

– Zimno pani – odzywa się ktoś odziany w bordową dermę, która skrzypi przy każdym słowie. – Porwali ten autobus do Szwecji? Czy jak? Zimno pani?

– Zimno.

– Zaraz by się pani zrobiło ciepło. Jakby panią przytulił jakiś prawdziwy mężczyzna – mówi tamten i zaczyna drżeć od chutliwego śmiechu; bordowy pancerz skrzypi w ciszy.

– Prawdziwi mężczyźni są teraz w więzieniach – odpowiedziała kobieta, a bordowa derma nagle milknie.

Wtedy z ciszy wyłania się nagle autobus; czerwona plama rośnie, a znieruchomiali ludzie ozywają opornie, jak na chwilę po przebudzeniu.

– Godzina i czterdzieści minut czekania.

– Dobrze, że w ogóle jest... Mógł wcale nie przyjechać... wojna...

Autobus sunie wolno i bezgłośnie; szeroka szyba jest zamarznięta; kierowca opiera się o nią białym czołem, badając przed sobą drogę.

Potem przednie drzwi rozwierają się jak harmoszka, ale stadko ludzi z akwarium znowu nieruchomieje; na stopniu pojawia się mężczyzna, a za nim młody chłopak; wyglądają jak ojciec z synem; wygląda to tak, jakby ojciec prowadził opierającego się chłopca; mężczyzna ciągnie go za sobą, a ręka chłopaka powtarza każdy ruch jego ręki; po chwili stoją już w pianie śniegu; w ramach drzwi jak na zbiorowym portrecie pojawiają się rozmazane twarze; mężczyzna pochyla się jeszcze; wolną ręką zbiera ze stopnia autobusu jakieś białe karteczki i śpiesznie upycha je w kieszeni; jedna wyfruwa mu z palców i bez tchu opada pod nogi ludziom.

Ulotki, ulotki, mówi ktoś szeptem, ulotki rozrzucał; mężczyzna rusza; chłopak opornie idzie za nim; ich ręce wyprężają się i teraz widać, że przeguby mają skute kajdankami.

Ludzie patrzą w ciszy; wtedy tamta młoda kobieta odzywa się zduszonym głosem, odzywa się z trudem: zróbcie coś, zróbcie coś, zróbcie...

Obraz tamtych dwóch rozcieńcza niewinna biel; w otwartych drzwiach autobusu rośnie pęcherz ciepłej pary; ludzie wtulają się w nią, nie patrząc za siebie; posłusznie nie odwracają się i uchodzą w pulchne wnętrze; tamta kobieta zostaje na przystanku sama, z pochyloną do przodu głową; po tamtych dwóch słuch już zaginął.

Połówki drzwi zasuwają się, przecinając pęcherz pary, autobus odpływa.

Tamta młoda kobieta stoi nieruchomo; pod jej nogami leży ulotka, ale ona nie może się po nią schylić; ona nie może się już poruszyć.

Kraj obraz

... Plac Zwycięstwa tego miasta przegrał ostatnią bitwę; teraz jest tylko strzępem przestrzeni, zamkniętej wysokim i szczelnym płotem; niegdyś układano tu z kwiatów pośmiertny krzyż walecznych tym, którzy padli z ręki skrytobójcy; teraz jedynym symbolem walki jest martwy hotel Victoria, pod którym cinkciarz pośpiesznie wyzbywa się papierowej waluty; dolary skupie, dolary, inne marki; szepcze w pustkę i spogląda za samotną bezrobotną kurwą, którą chce zatrzymać tajniak; co ty myślisz, że na legitymację będziesz mnie ruchał, baranie?

Nieco dalej, pod pomnikiem zwietrzałej Nike; której usechł miecz, zatrzymuje się autobus, a przez zabłoconą przednią szybę widać przewodnika; jego usta poruszają się bezgłośnie i włączają jakieś słowa w mikrofon; za szkłem ludzie, znieruchomiali jak okazy krabów; jedni śpią ciężkim, brudnym snem, inni patrzą przed siebie bez myśli...

Dzień obłoku i mgły

Pora jest ranna, ale wojenny dzień nie może się wyłonić z półmroku.

Obrzmiałe powietrze osiada ciężko i tylko poświata śniegu daje nieco niskiego blasku; twarze ludzi zanurzone są w cieniu.

Niewinna biel na tym skrzyżowaniu pokryła się bliznami które zostawiły gaśienice czołgów; tej nocy przetaczały się wiele razy, częściej, niż zwykle siały niepokój, drażąc miasto; za dwa dni miało się stać Boże Narodzenie.

Jeden z czołgów zastygł martwo u zbiegu ulic i nie wiadomo, czy tylko się zepsuł, czy porzuciła go załoga.

Mróz jest gorzki; pod ścianą domu, którego mieszkańcy nie podchodzą do okien, stoi metalowy kosz, wypełniony pulsującym koksem; nad koksem pochyła się kilku żołnierzy, błagalnie wyciągając ku niemu ręce, a zielonkawe płomyki tętnią im między palcami.

Kilku innych obstało bezradnie samochód, który właśnie zatrzymali; podoficer łakomie zagląda do wnętrza, potem w bagażniku odkrywa kanister, którego od kilku dni nie wolno już mieć; wywleka go stamtąd, otwiera i żółty strumień płynie wzdłuż krawężnika; kierowca odwraca głowę i nie patrzy.

Samochód odjeżdża, napływa cisza, nieobecni przechodnie brną w milczeniu; obok czołgu czatuje buda milicyjna o barwie błota, zwana dyskoteką; jeszcze się nie zdążyła wypełnić tego dnia. Milicjanci grasują w pobliżu, nachalnie zaglądają w twarze, sprawdzają dokumenty, grzebią w torbach. Czasem prowadzą kogoś w stronę budy i wtedy oczy widzów ozywają. Pojawia się w nich ciekawość i przerażenie.

Dwóch mundurowych stoi pod murem z podniesionymi do góry rękami; wygląda to tak, jakby za moment mieli być rozstrzelani; tych dwóch bezskutecznie próbuje zamalować napis, który zakwitł nocą; dwa słowa uporczywie wypływają na powierzchnię farby, junta juje.

Żołnierze, skupieni wokół śpiewnego ognia, odwracają się nagle; zatrzymała się przy nich kobieta; patrzą na szary płaszcz, na popiół włosów, wysypujący się spod czarnej chustki na ramię, patrzą spłoszonymi oczyma; ona mówi do nich wolno, żarliwie; unikają jej wzroku, milczą; zaraz pojawia się podoficer i kilku milicjantów; uprowadzają tę starą kobietę, która się nie opiera.

Żołnierze pochylają głowy jeszcze niżej, ale ich czoła oświetla i pali żar koksu i nie mają ich gdzie ukryć; pistolety maszynowe, zwisające na pasach, objają boki, uwierają dotkliwie, dręczą.

Twarz mężczyzny, którego wchłonie teraz żarłoczna buda jest jak śnieg; choinkę, którą niósł ostrożnie, wytrącono mu z ręki; ogląda ją teraz jakiś kapral, ocenia, bada gospodarskim okiem, potem podnosi ją, porzuca, otrzepuje z białego kurzu i ustawia w zacisznym kącie; będzie jego; będzie miał na nią baczenie.

Na przystanku autobusowym zbici ludzie, zbici w gromadę; szarzeją w mlecznym szkle mgły, czekają...

– Za Niemca inaczej było, inaczej... Niemcy nas zabijali, ale dawali żyć...

– A, panie. Przed tamtą wojną, to się tak u nas krzycało, Żydzi na Madagaskar, Żydzi na Madagaskar... A to nam trzeba było tam spierdalać. Nam!

Na skrzyżowaniu ulic robi się ruch, wiruje powietrze, mikrobus zatrzymuje się przy krawężniku. Wyskakuje z niego jakiś mężczyzna z kamerą filmową, oficer; pomagają kobiecie, która wydobywa się z zacisznego wnętrza; tłusty kożuch, karminowa piana uśmiechu na

wargach – ktoś usłużnie podaje jej ramię, kamerzysta wybiera miejsce; ona z chorym chichotem osiada wreszcie w wełnie śniegu.

W palcach trzyma kurczowo kilka czerwonych goździków, które w mgnieniu oka pożera mróz i płytę gramofonową w kolorowej kopercie.

Zastyga teraz w cieniu samochodu, czeka; z ust cicho sypią się paciorki słów; my kobiety polskie, oraz polskie matki... to dzięki wam na ulicach miast naszych i w domach naszych zapanował spokój... wojna domowa... oraz wioski... udaremniliście... wyście... kontrrewolucja... nie oddamy zdobyczy socjalizmu... jak tam układa się przebieg służby...

Żołnierze, skupieni nad źródłem ognia, zastygają, wyciągnięte dłonie ranią opalowe żądła iskier; dwóch oficerów zbliża się do nich nieuchronnie, kamerzysta mości sobie miejsce.

Oficerowie wylawiają wzrokiem najwyższego spośród nich, przyglądają mu się z uwagą; jak tam służba, pyta jeden z nich, tak jest, odpowiada wyprężony.

– Wiecie, święta się zbliżają szybkim krokiem, więc zostaliście wytypowani i tu przedstawicielka polskich matek wręczy wam upominek, oraz skromną, wiecie, żołnierską wiązanek kwiatów, jako że wzorowo pełnicie służbę, oraz wypełniacie powierzone wam zadania, spotyka was niejako ten zaszczyt, że zostaniecie uwiecznieni przez telewizję polską i pokazani szerokiemu ogółowi rzeszy na szklanym ekranie; przygotujcie się, obywatelka przedstawicielka czeka, prawda, organizacje kobiece. Rozkaz!

A żołnierz cofa się o krok, chce coś powiedzieć, ale nikt go już nie słucha, więc stoi, nieruchomy, jakby śnił we śnie, wokół niego ruch; kamera syczy jadowniczo; jego koledzy odsuwają się przezornie, kryją, unikają tego oka; żołnierz widzi przed sobą płamę twarzy ze zwietrzałym uśmiechem, w związku ze świętami, my, kobiety polskie, oraz polskie matki... to dzięki wam na ulicach miast naszych i w domach naszych zapanował spokój... wojna domowa... oraz wioski... udaremniliście... wyście... kontrrewolucja... nie oddamy zdobyczy socjalizmu... jak tam układa się przebieg służby...

Żołnierz myśli gorączkowo, żadna odpowiedź nie przychodzi mu do głowy; teraz widzi już rozłożyste plecy tej kobiety i mechanicznie mówi za nimi, na rozkaz pułkownika podjęliśmy spontaniczną zbiórkę na rzecz powodzian...

Nie ma już kamery i mikrofonu; mikrobus rusza; przez szybę widać snop czerwonych goździków, rozłożonych na siedzeniu; żołnierz opuszcza głowę i widzi, że ma w ręku płytę w kolorowej kopercie; ale wała z ciebie zrobili, odzywa się ktoś z boku; on rzuca tę płytę na wrzące mrowisko koksu; rozlewa się czarna niema plama...

Czołg na skrzyżowaniu ożywia się nagle; silnik łapie oddech, a metalowy pancerz zaczyna delikatnie drgać; obrzmiałe powietrze osiada ciężko...

Kraj obraz

... Ten wyludniony placyk stał się teraz prawdziwym wschodnim bazarem i kobieta, spowita w kokon szmat, czai się nad garścią zwiędłych marchewek, rzuconych pod nogi przywódców na tytułową stronę gazety; dobra ta marchew tak do zgryzienia dla dziecka, pyta ktoś nieufnie; cukier-miód, odpowiada z mocą, cukier-miód.

– Świeża ta kapusta?

– Świeża. Jak my.

– Piękne jajeczka, malutkie, piękne!

– Albo się powieszę na tym pasku, czy co chrypi chorym śmiechem człowiek, który nie ma już nic do sprzedania.

Na straganie handlarz porozkładał barwne książki kucharskie, pełne zapomnianych pojęć i zapachów, a obok, w salonie obuwniczym, który nosi nazwę domu obuwia, ktoś, wpatrzony zachłannie w martwe oblicze sprzedawczyni, wywija kartką na buty.

– Przy wyjściu z pracy przewróciłem się. Jak dochodziłem już do domu, przewróciłem się z powrotem. Prawdopodobnie z przyczyny wyslizganych butów. To w czym ja mam ewentualnie chodzić, ja się pytam.

– A idź pan, idź pan – budzi się z letargu sprzedawczyni – idź pan...

Czerwona Gwiazda Piolun

Siedzieli naprzeciw siebie już drugi dzień; wiatr przywiał wczesny zmierzch i teraz płonąła bezwstydną żarówka; siedzieli naprzeciw siebie i przedzielało ich tylko żółtawe biurko.

Za jego plecami była bezbronna ściana, za plecami cywilnego funkcjonariusza stała szafa pancerna; na wypolerowanych drzwiach ćmiło się światło.

Siedzieli naprzeciw siebie już drugi dzień i cywilny funkcjonariusz był zmęczony, a dla niego ktoś inny przygotowywał teraz w drugim pokoju decyzję o osadzeniu w więzieniu i obaj czekali na nią już dwie godziny.

Był spokój; cywilny funkcjonariusz patrzył na starą gazetę z nieaktualnymi fotografiami zdegradowanych w ciągu jednej nocy namiestników; te dwa dni zbliżyły ich do siebie; już nie byli sobie obcy i mimo że jeden o drugim nie wiedział prawie nic, nie mogli by się minąć na ulicy obojętnie. Obaj byli zamknięci ze sobą w tym pokoju przez dwa dni; cywilny funkcjonariusz przestał już być prawdziwym katem, a on prawdziwą ofiarą; teraz on był dla cywilnego funkcjonariusza niewygodny; stanowił dla niego niewygodę, bo przez dwa dni układ między nimi zachwiały się wiele razy; cywilny funkcjonariusz żałował teraz, że nie potrafił utrzymać tarczy i opuścił ją, że się przez to za szybko odsłonił i zgubił dystans; pozwolił go skrócić, stracił nieco przewagi, a taka strata jest nie do odrobienia.

Siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, palili papierosy; gdy on zbyt długo szukał zapalnika, cywilny funkcjonariusz wyciągał rękę z zapalniczką i teraz nie mógł sobie darować, że dał się nabrać na ten gest.

Poprzedniego dnia było inaczej; gdy zabierali go z domu i skutego uprowadzali windą w dół, było zupełnie inaczej; panowali nad nim całkowicie. Klatka windy drgała nieznacznie; gdy przesunął się nieco, zza jego pleców ukazał się rysunek szubienicy; na stryczku dławił się napis PZPR; oni zauważyli ten rysunek, popatrzyli na siebie; ha, ha, powiedział jeden, ale dowcipne i odruchowo rozluźnił kołnierzyk; popatrzyli na siebie, ale krepowali się przy nim ścierać i to był pierwszy błąd. Cywilny funkcjonariusz rozumiał to teraz.

Ściany klatki drgały; na jednym z pięter winda zatrzymała się, jakiś postarzały człowiek otworzył drzwi. Nie wsiadać, milicja, szczerknął jeden z nich i ten człowiek zatrzymał się w pół kroku i wolno podniósł ręce do góry, jak na odległe wspomnienie; winda znów ruszyła.

Potem siedzieli w tym pokoju; był ich pierwszy dzień; cywilny funkcjonariusz zadawał jakieś pytania, jego koledzy wbiegali do pokoju, no jak, i zaczął zeznawać, czy nie zaczął, mówi już, czy jeszcze nie mówi, pytali i znów wychodzili, coś nie chce mówić, odpowiadał cywilny funkcjonariusz, ciężko coś, nie ma ochoty mówić.

– Nie ma ochoty? To my zrobimy tak, że będzie miał ochotę – i wychodzili zaraz szybko i nie było w nich cienia prywatności; przez te pierwsze godziny, pokazując się na krótkie momenty, mogli działać oficjalnie i oschle.

– No jak? Zaczął mówić?

– Nie chce mówić – odpowiadał cywilny funkcjonariusz; wąsy opadały mu w dół i przez to wyglądał jak ktoś bezgranicznie smutny; gdy szli do tego pokoju długimi korytarzami, on zauważył, że co drugi z tych młodych ludzi ma wąsy; te same, które półtora roku temu wylansowała gdańska stocznia.

– Nie chce mówić?

– Coś nie chce.

– Masz pan tu kartkę i długopis i opisz pan dokładnie ostatnie dwa tygodnie. Dzień pod dniem. Dokładnie – uderzył kartką papieru o blat i wtedy strzęp popiołu poszybował na nici światła; obserwował ten lot, a oni niepotrzebnie podążyli za jego wzrokiem; na moment zapadła cisza.

– Zna pan dobrze francuski – powiedział cywilny funkcjonariusz.

– Nie... Szkoda. Nie znam. Piąte przez dziesiąte. Niemiecki trochę. Halt. Hende hoch... Z filmów wojennych...

– Nie zna pan? To jak się pan kontaktował z serwis raseńmą? Co? Wie pan co to jest? Czy pan powie, że pan nie wie...

– A co to jest?

– Nie wie pan? Ja panu przypomnę. To jest wywiad francuski.

– We Francji akurat nie ma wywiadu – odpowiedział – Wiem o tym na pewno.

– Jak to nie ma? Jak może nie być jak jest? powiedział wolno cywilny funkcjonariusz i umilkł.

– Tu. Na tej kartce opisz pan dokładnie swoje dwa ostatnie tygodnie. Dzień po dniu – drugi postukał palcem w białą kartkę.

– Nie opiszę.

– Nie?

– Nie.

Drugi odwrócił się i wybiegł z pokoju; osiadła cisza i tak trwała przez chwilę; drzwi uchyliły się znowu.

– Ma pan trzy minuty. Z zegarkiem w ręku.

Ma pan trzy minuty. Niech się pan zdecyduje przez te trzy minuty. Jest pan za opozycją, czy pan nie jest. Niech się pan zdecyduje – wyrzucił pięść do przodu jak do uderzenia, ale chciał tylko odsłonić zegarek na przegubie.

– Ma pan trzy minuty.

On zaparzył się w okno; na dole, na wyziębłym dziedzińcu stał zepsuty samochód pancerny i kilku żołnierzy kręciło się bezradnie wokół niego; dalej leżało zamarłe miasto; sterta śniegu twardniała na chodniku; ktoś na ulicy zatrzymał się bezradnie, jakby nie mógł w swoim mieście odnaleźć drogi, w jakiejś łazience zamyślona kobieta powoli myła włosy.

– Już minęła minuta.

Nie odezwał się; ma pan jeszcze dwie minuty. Niech się pan zdecyduje. Jest pan z opozycją, czy nie; znów milczał; na szybko pobrzękiwała zamarznięta kropla.

– Co pan tak patrzy w to okno? Co? Tak się pan zapatrzył – zapytał tamten.

– Bo tam się wróble pierdolą na parapacie. W zimie?

Drzwi się znów zatrzasnęły i zostali sami; pan dostawał dolary, w tej szafie mam pokwitowania, powiedział cywilny funkcjonariusz i umilkł.

– Od wywiadu francuskiego dolary?

– No, te. Franki.

Teraz siedzieli naprzeciw siebie; mijał już drugi dzień i cywilny funkcjonariusz czuł, że właśnie teraz musi się odezwać.

– Na Węgrzech byłem. Ubiegłego roku...

– I jak?

– Ceny wzrosły. Drogo.

Cisza znów rozgościła się między nimi; cywilny funkcjonariusz podniósł głowę i zapatrzył się w sufit; pistolet dokuczliwie uwierał go pod pachą.

– Salami sto dziesiąt forintów. Szynka sto dziesiąt forintów. Papierosy naście forintów. Harmonijka ustna dwieście forintów. Buty set forintów.

– A zapalki?

– Zapalki? Nie wiem...

– Bo mówił pan o papierosach.
– Mam zapalniczkę.
– A ile kosztuje wino?
– Dziesięć forintów.
– Ile kosztuje herbata?
– Na paczki, czy na szklanki?
– Na szklanki.
– Nie wiem. Bo zabrałem ze sobą z kraju. Takie w torebkach.
– Ile kosztuje koszula?
– Ście pięćdziesiąt forintów. – W kinie pan był?
– Nie byłem.
– Na pewno?
– Na... – spojrzał na niego zaskoczony i umilkł; był zmęczony i chciał, by już ich rozdzielono.

On popatrzył na cywilnego funkcjonariusza; pan niedawno zamykał ludzi, którzy walczyli z reżimem Gierka.

– No tak. Jasne.
– To jak to jest? Wtedy ich pan zamykał i teraz ich pan zamyka. I Gierka też pan zamknął. Gierek siedzi. I paru jego ludzi. W końcu mieli rację ci, co kotłowali Gierka, czy nie mieli?
– No, niby mieli. Gierek siedzi.
– To jak pan to wszystko rozumie? Która strona jest winna?

Cywilny funkcjonariusz długo śledził biurko.

– Proszę pana. Przecież my w gruncie rzeczy walczyliśmy o tę samą sprawę... o tę samą sprawę... Tylko po dwóch stronach barykady. Ale walczyliśmy o tę samą sprawę... przecież...

Wtedy otworzyły się drzwi i stanął w nich drugi; w rękę trzymał papier o niewinnej bieli; cywilny funkcjonariusz wpatrzył się w niego z nadzieją i wdzięcznością.

– No i? – powiedział i wstał; odszedł kilka kroków od biurka i wtedy dopiero poczuł się swobodniej – i jak?

– Zabieramy na Białąłęgę. Już mam podpisane.

– No to dobra. Zabieramy. Samochód jest?

– Jest na dole.

– To wszystko okej?

– Wsio okej.

– Dobra. Pan się ubiera – rzucił przez ramię.

On podniósł się; nakładał kurtkę na zmartwiałe plecy i rozprostowywał się.

– Skuć go? – zapytał cywilny funkcjonariusz; mówił teraz szybko; wróciła rutyna.

– Po co kuć. Nie ucieknie. Nie ma gdzie.

– No? – powiedział cywilny funkcjonariusz i spojrzał na niego. – No?

Wyciągnął rękę i otwartą dłonią uderzył w przycisk; światło przestało pulsować i ucichło; przed nimi był widny korytarz; wyprostował się i powoli wszedł w ten rozjarzony prostokąt; w studzienną otchłań, w dym szarańczy.

Kraj obraz

... Na placu przed zamkiem królewskim bruk cuchnie kwaśno świeżym gazem łzawiącym, a z wąskiej uliczki wyfruwa stadko wózków inwalidzkich; rachityczne wózki, popychane przez żołnierzy, podskakują i grzechoczą; każdy żołnierz ma na wysokości piersi dwoje przerażonych oczu, które błyszczą jak medale.

Pełna pułapek wyprawa dobiega końca; widać już autobus przy krawężniku, a za nim wojskowy samochód ciężarowy; oczy kalek zachodzą ulgą; żołnierze przyśpieszają, rozganiając ogłuszone gazem gołębie.

Otoczają autobus, porywają swoje kaleki na ręce i ze wstydem, skrytym pod daszkami czapek, tłoczą się przed wejściem.

Sparaliżowana dziewczyna, która ostatni raz jest w ramionach mężczyzny, widzi nagle kobietę, patrzącą na nich w osłupieniu; dzień dobry, odzywa się ta kobieta, co tu robicie, jakąś akcję macie pokazową, tak? Jakaś taką akcją pokazową?

– Ja nic nie wiem – mamrocze żołnierz – ja nic nie wiem, miał być rynek, to był rynek – na chwiejnych nogach wspina się po stopniach, a szara szyba gasi rumieniec na twarzy dziewczyny.

Dwóch żołnierzy w mundurach polowych z wściekłością wrzuca wózki na skrzynię samochodu; kaleki kurczowo chwytają się za oparcia siedzeń; z uliczki wypada zadyszany żołnierz; jego wózek frunie ponad brukiem; zgra, chłopaki, zara, zara; inwalida omdlałymi palcami usiłuje się wczepić w rozpędzone kółka; zgra; zara; grają silniki samochodów, tamta kobieta odwraca się i j powoli odchodzi...

Czarnolęka

Celę oblepia półmrok i cisza; czasem pod podłogą grasuje szczur, ale zaraz przyczaja się; chwilami odzywa się śpiewna wschodnia mowa rur.

On stoi plecami odwrócony do drzwi. Przed nim jest krata; między prętami połyskuje uwięzione szkliwo powietrza; jest przejrzyste i widać przez nie plac spacerowy, otulony barakami.

On stoi odwrócony plecami do drzwi; nie wyszedł dziś na plac; mógł nie wyjść dziś na plac; jest ta jedna z niewielu spraw, o której może tu decydować i nie wyszedł dziś z innymi na plac. Tak jak wczoraj i jak jutro.

Krata kładzie się na sylwetki ludzi, krążących po spacerniaku, każdy kwadrat kraty więzi swojego człowieka; on stoi plecami odwrócony do drzwi. Patrzy.

Za niskimi stalowymi drzwiami słychać szelest; słychać jak unosi się klapka lipa, ale szkiełko jest zamazane margaryną i nie można przez nie sprawdzić, co się dzieje w celi.

Odzywa się gardłowy charkot klucza, potem szklisty głos zasuwu i drzwi otwierają się; stoi w nich klawisz; chciał zrobić w celi pośpieszny kipisz i teraz stoi zaskoczony i patrzy na niego. Robi kilka kroków, deski na przegniłych legarach kołyszą się i falują, klawisz rozgląda się po celi, wyszukuje wzrokiem, węszy.

– O co chodzi?

– A tak... Patrzę, czy się cela nie rozlata...

Podchodzi do okna, stuka olbrzymim kluczem w parapet, potem sięga do torby, porzuconej na pryczy i zagląda łakomie do wnętrza.

– O co chodzi?

– A tak... Patrzę, czy się okno nie rozlata... Wychodzi zły; huk ciężkiej blachy o futrynę, metalowe powietrze wibruje, a on stoi, plecami odwrócony do drzwi i słyszy, jak klawisz otwiera następną celę.

On patrzy na zakratowany spacerniak; krążą tam ludzie w wacie ciszy, są wśród nich więźniowie z jego celi. Jeńcy wojenni.

Krążą, z boku stoją klawisze, prowadzący ich na smyczy wzroku; ich szaro-stalowe płaszcze są barwy powietrza i sylwetki zacierają się i nikną; płaski plac przecinają wygięte słupy, na których rozpięta jest siatka z kolczastym nerwem i bezpłodne drzewko, które nie powije liści. Więźniowie krążą; w baraku na wprost siedzą kryminalni; przelatują teraz nad siatką pod ich okna paczki papierosów; oni łowią je kawałkami desek, wyjętych z pryczy – deska ma na końcu gwóźdź; można go wbić w paczkę papierosów, a potem ostrożnie donieść ją do wnętrza.

– Kiedy wychodzicie? – pokrzykują i kraty nie tłumią głosów. – Kiedy wreszcie zrobicie porządek?

Zza baraku wypada klawisz; okna kryminalnych zatraskują się szybko; klawisz porywa paczkę papierosów i patrzy nienawistnie na jeńców; dlaczego pan im nie chce dać tych szluczków, to też są chrześcijanie; oni są lepsi Polacy i katolicy, niż wy, oni są lepsi Polacy od was, bełkocze strażnik; wzdłuż siatki popycha taczki kryminalny, a z okna jak rozłożyste szare ptaszysko frunie ku niemu sweter i osiada na drutach kolczastych; kryminalny delikatnie zdejmuje go styliskiem łopaty i ukrywa między trelinkami w taczkach; rusza i zatrzymuje się zaraz; lepkie palce klawisza błędzą wśród bloków betonu i wyławiają to odzienie; więzień patrzy, myśli o karze, która go spotka albo nie myśli już o niczym.

On stoi, plecami odwrócony do drzwi; patrzy na tamtych, których wchłania spacerniak i rozpoznaje ich z tej odległości bez trudu. Zna ich.

Ten, który przystanął teraz i patrzy w kierunku koguta, na którym stoi strażnik z pistoletem maszynowym, to słynny partyzant; po tamtej wojnie specjalizował się w rozbijaniu stalinowskich więzień. Uwolnił wielu ludzi. Tego, w którym go usidlili, już nie potrafił rozbić. Dostał siedem wyroków śmierci. Trzy darowała mu amnestia. Ale żyje; znowu ruszył, krąży po spacerniaku.

Ten niepozorny ma grube okulary z aparatem słuchowym; słuch stracił na Sybirze, gdzie urodziła go matka. Po łagrze skazano ją na wieczne zesłanie i nawet nie uczyła syna języka polskiego; mówiono, że nie będzie mu już nigdy potrzebny. Gdy wracali, miał kilka lat. W Moskwie stanęli w długiej posepnej kolejce; ona chciała, by spojrzął na tamto oblicze. Wrócił, krąży teraz po spacerniaku.

Tamten, pochylony, był wśród drutów obozu hitlerowskiego. Na wolność nie wyszedł przez komin; wrócił inną drogą, krąży po spacerniaku.

Tamten, który kuleje, dostał parę gomułkowskich lat, za wiersz o głupocie Polaków. Sądzono, że autorem wiersza jest Jan Kochanowski. Odsiedział za Kochanowskiego, wyszedł, teraz krąży po spacerniaku.

Tamten, gdy miał czternaście lat, był powstańcem warszawskim, a zaraz potem, gdy powstała wolna Polska, dostał kilka lat więzienia. Przeczytano mu akt oskarżenia, który mówił, że próbował obalić młody ustrój sprawiedliwości społecznej. Ten chłopak, który z nim rozmawia, jest jeszcze uczniem; myślał inaczej, niż jego wychowawcy. Krążą obaj po spacer-niaku.

Tamten, w marynarskiej kurtce, to poeta, który wystukuje sobie teraz rytm wiersza, krążąc po spacerniaku.

Ci dwaj robotnicy wspominają związek zawodowy, którego już nie ma. Zmiotła go wojna, ale w gazecie napisano, że klasa robotnicza chce innego związku; będzie on jedynie słuszny, a także wyjdzie naprzeciw postulatom załóg; ci dwaj krążą teraz po spacerniaku.

Tamten jest drukarzem, który bez cenzury drukował Miłosza. Za swoją pracę dostał nagrodę pisarzy. Nie mógł jej odebrać, bo siedział w więzieniu, oskarżony o kradzież. Wyszedł, krąży teraz po spacerniaku.

Ten, który gestykuje teraz, nie chciał się zgodzić w sześćdziesiątym ósmym z tym, że Mickiewicza nie można wystawiać, bo jest poetą antysocjalistycznym. Gdyby się nie godził tylko z tym, może by się skończyło na milicyjnych pałkach. Dostał kilka lat. Wyszedł. Krąży po spacerniaku.

On odwraca się teraz od okna, wolno robi krok, dwa kroki. Potem jeszcze kilka kroków między piętrowymi pryzkami. Cztery kroki w jedną stronę, dwa w bok, cztery z powrotem, dwa w bok.

Jest pisarzem, krąży teraz po celi; razem z tamtymi krąży, krąży...

Kraj obraz

... Rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... jestem potwornie zmęczona, bo przeczytałam ponad tysiąc stron takich prac z konkursu o losach ludzi parę lat po ślubie i jestem kompletnie załamana i zmaltrętowana; to było kilkaset prac, głównie kobiety pisały, ale to tak, jakby pisała jedna kobieta, jakby pisała jedna zrozpaczona kobieta, jakby pisała jedna kobieta, oszalała z rozpacz albo mitomanka; aż się nie chce wierzyć; te wszystkie małżeństwa spod jednej sztancy, ci wszyscy młodzi, co sobie wmówili, że ludzie mają być szczęśliwi i że w ogóle mają do tego prawo i już te pierwsze miesiące nawet, a nie lata, to tułanie się po jakichś norach za ciężkie pieniądze, mieszkanie u rodziny z teściową, która zawsze jest jak dzuma, życie osobno i te spotkania po krzakach, z szansą na mieszkanie w dwutysięcznym roku, przed emeryturą, dzieci, które przychodzą na świat, jakby były tu komukolwiek potrzebne, no i jeszcze chwila i mąż zaczyna pękać i coraz częściej wraca pijany; ten wojownik, który nie może niczego upolować, prócz tych paru zadrukowanych kartek na ochłap, za który jego kobiecie połamią żebra w kolejce, na buty, których nie ma, na mydło, którego starczy na parę dni, kilka kartek na życie, którego się nie kupi, bo jest tylko wstawanie o świcie, harówka, kolejki i dziennik w telewizji i może stanie nocą pod sklepem, w którym kiedyś sprzedawano lodówki, czy pralki, a potem nieuchronnie ten pierwszy raz, kiedy się poczuje na twarzy pięść pijanego męża; te kobiety mogłyby gryźć ściany za odrobinę miłości, ale one w ogóle nie znają tego słowa; to egzotyczne słowo, którego im nikt nigdy nie objaśni, bo to słowo wykreślono z naszego języka, z rozmysłem zabito mił... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana... rozmowa kontrolowana...

Brak tchu

Widok z okna jak bezkresna dal we mgle, wilgotna i czuła, ale to tylko prześcieradło, rozpięte na kratkach; trzeba je polewać wodą i wtedy stygnie na moment, a potem znów porasta dławiającym mchem pary, która łąsi się obleśnie do tych nagich ludzi, milczących bez tchu za stołem.

Słońce łakomie pożera barak; jeden z nich sięga co chwilę po aluminiowy kubek, zanurza go w kuble, czerpie i chlusta przez lewe ramię na płachtę; wygląda, jakby odczyniał uroki.

Odstawia pocięty kubek i wraca do siebie i nawet nie spojrzy w jego kierunku; sięga na pamięć. Kubek stoi na parapecie; jego mdła biel w tle gieźla na kratkach; kubek jest cały w dziargankach; cały jest wytatuowany; odejmowano go od licznych ust, a data produkcji, wybita sztancą mówi, że służy już trzydzieści jeden lat. Ścianki poryte są napisami, rysunkami nagich kobiet, datami, numerami artykułów i paragrafów, które łamały kolejnych właścicieli; jeden z nich znów sięga, czerpie z kubła i chlusta; woda jak metal z brzękiem ścieka na parapet, a tamten odstawia ten kielich goryczy, jakby to był zwykły przedmiot.

Te nagie ciała ludzi za stołem okrywa pot i niemoc; siedzą w milczeniu i wolno, z rozmysłem, wdychają powietrze, które jest tak puste, że nie daje już ulgi płucom.

Do południa jeszcze dwie godziny; jest to pora zwolnień; to właśnie teraz każdego dnia może się zdarzyć, że wybija ta godzina; odezwią się kroki na korytarzu i może nie ominą tych drzwi; zaskomlą rygle i w drzwiach pojawi się klawisz, który niechętnie wywoła nazwisko i już odwracając się, dorzuci, pakować się.

Ten, który to usłyszy, poczuje nagle łopotanie pulsu; gdzie mam się pakować, dokąd, będzie się głośno uspokajał; może w transport, a może dali mi sankcję, kurwa ich mać; pewnie w transport. Albo do sądu na świadka.

– Teraz jest pora zwolnień. W transport biorą o ósmej rano – odezwie się ktoś z boku, ale pamiętasz, raz był transport o dziesiątej właśnie...

Ten, który usłyszy swoje nazwisko, będzie się usprawiedliwiał tymi słowami, będzie mówił, nagle zacznie wypowiadać wiele słów, a ręce gorączkowo poniesie w kierunku jakichś przedmiotów, które trzeba zapakować, w kierunku tych ludzi, którzy nie usłyszeli swoich nazwisk; oni będą musieli mu pomagać, bo zmartwiałe palce nie mogą niczego utrzymać dłużej, niż przez moment.

Jest pora zwolnień, ale żaden z nich nie mówi o tym głośno; tego upalnego dnia nie mają siły na żadne słowa; tego dnia słowa byłyby za ciężkie, by je wypowiedzieć.

Drobinki kurzu wtapiają się w ciała jak śnieg i nikną, a oni milczą; ci, którzy siedzą plecami do drzwi, patrzą bacznie na tych, którzy je mają w zasięgu wzroku; ci słyszą więcej.

Drzwi celi otwierają się nagle bezgłośnie, jakby rozgrzany metal zmiękł i klucz mógł się bezdźwięcznie obrócić w zamku; klawisz ma czapkę zsuniętą na tył głowy, strużki potu wybiekają spod daszka i pędzą w dół, a on odgania je niecierpliwie wierzchem dłoni.

Stoi w drzwiach i patrzy na siedzących, a potem cicho wypowiada nazwisko.

Ten, który je usłyszał, unosi się lekko, siada; klawisz wie o tym, że teraz jest godzina zwolnień, więc milczy przeciągle, jakby się bał, że słowa poparzą mu wargi.

– No? Jestem...

Klawisz pociera powieki końcami palców; na jednym z nich wisi klucz więzienny; kółko jak olbrzymia ślubna obrączka; tak ostrożnie naciska powieki, jakby chciał sprawdzić, czy są pod nimi oczy i mówi cicho w dłonie.

– Na przesłuchanie.

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, oddycha teraz łagodnie, sięga po aluminiowy kubek, czerpie z kubła.

– Nie idę na przesłuchanie.

– Nie?

– Nie.

Chlusta za siebie przez ramię i odstawia szybko gorący kubek, którego nie zdążyła ochłodzić woda.

– Kto by ciupał w taki upał. Nie idę.

Klawisz nie odchodzi; powinien już wyjść i zatrzaskać rozpalone drzwi, ale stoi na progu, a zza jego pleców pojawia się blady mężczyzna; jest tak biały, jakby wyparowała z niego krew; ze mną też nie będziesz rozmawiał? Co? Ze mną nie chcesz rozmawiać?

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, podnosi się wolno, mechanicznie, bez żadnej myśli; wstaje, robi kilka kroków; tylko tyle, by się znaleźć przy drzwiach; teraz sięga po koszulę, która wędła na pryczy i odwraca się niepewnie.

– To mój ojciec – odzywa się z wysiłkiem do tych, którzy siedzą za stołem.

Drzwi są dziś jak z gumy i nie wydają dźwięku. – To teraz ja będę polewał tę szmatę. Zanim nie wróci.

– On mówił, że jego ojciec pracuje na ube. Pierwszy raz przyszedł. Nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów. Nie przychodził na żadne widzenia.

– To ma dodatkowe widzenie. Zaskoczył go. Dlatego wyszedł. Nie utrzymuje z nim żadnych kontaktów. Wyszedł zupełnie skołowany.

– Myślał, że na wolność. Ta pora.

Wojłokowy upał tłumi słowa, rozkołysany czas rozplywa się na wszystkie strony.

Dym z papierosów wchłania ostatnie smugi powietrza. Jeszcze trwa godzina zwolnień i oni czuj każde jej drgnienie.

– Chyba stuknę do sąsiadów. Może ktoś dziś wychodzi.

– Byłoby słyhać.

Milczą; nie gasnące pety przeżerają blachę y; puszki, a oni teraz czują te miękkie kroki, których nie słyhać z korytarza i poruszają się drzwi w kurzu powietrza, suchym jak sól i staje w nich ten, który usłyszał swoje nazwisko.

Odrzuca koszulę na pryczę; rękaw osypuje się wolno ku podłodze; robi kilka kroków; tylko tyle, by się znaleźć przy stole i ujmuje kubek, czerpie nim wodę z kubła i część chlusta na szmatę, a resztą gasi sobie włosy, a potem siada na taborecie.

To był mój ojciec, mówi szybko, mówiłem wam, że mój ojciec pracuje na ube. Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. Nie przychodził na widzenia, bo wiedział, że nie będę chciał z nim gadać. Zaskoczył mnie. Dlatego wyszedłem. Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. Wyszedłem zupełnie skołowany...

– Ale krótkie to widzenie było...

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, wyciąga z paczki zeschniętego papierosa i przeciąga po skorupce bibułki językiem, który nie zostawia nawet nikłego śladu, obraca papieros w palcach, a tytoń sypie się spod jego paznokci.

– To nie było żadne dodatkowe widzenie. To było normalne przesłuchanie. Siedział tam jeszcze jeden ubol i obaj z ojcem chcieli mnie przesłuchiwać.

Zapala papierosa, a próżną bibułkę obsiadają żółtawe płomyki.

– Ojciec się darł na mnie, że jestem głupi, że tu siedzę w taki upał, że może mi załatwić zwolnienie w każdej chwili, tylko żebym podpisał deklarację lojalności, a ten drugi mówił, że tacy jak ja, to u nich są potrzebni do pracy, a nie w kryminale.

– Powiedziałem, że nie będę z nimi rozmawiał, bo mają krew na rękach. Ten drugi potwornie się wkurwił i wyszedł. I ja wyszedłem. Ojciec za mną krzyczał, że jestem głupi i że-

bym nie był głupi, że podaruje mi kolorowy telewizor na zgodę. Nie przychodził na żadne widzenia. Zaskoczył mnie. Dlatego wyszedłem. Nie utrzymuję z nim żadnych kontaktów. Wyszedłem zupełnie skołowany. Powiedziałem im, że nie będę z nimi rozmawiał, bo mają krew na rękach. Ten drugi się potwornie wkurwił i wyszedł. Mówiłem wam, że mój ojciec pracuje na ube. Krzyczał za mną, że jestem głupi i żebym nie był głupi, że mi podaruje kolorowy telewizor na zgodę...

– Zapal – powiedział jeden z nich i podał mu żarzącego się papierosa. Zapal. A potem wszystko opowiesz...

– Nie utrzymuję z nim żadnych...

– Zapal. I polej prześcieradło.

Ten, który usłyszał swoje nazwisko, sięga po kubek, ale nie trafia dłonią i musi się odwrócić, by dobrze wymierzyć ruch. Potem czerpie z kubła i chlusta za siebie; płachta prześcieradła jest sztywna jak blacha, pokryta cynkiem; krople ściekają z niej jak rtęć i stukają pośpiesznie o parapet.

Godzina zwolnień zaczyna się nad nimi zamykać nieuchronnie; czują teraz, jak wolno oblewa ich spokój i rezygnacja i czułe nici, które łączą ich z korytarzem, zaczynają pękać, jedna po drugiej.

I wtedy korytarz ożywa nagle; wypełniają go głosy, słysząc klaskanie zasuw i kroki niosące się coraz bliżej ku nim.

– Co jest? Co za przepychanka?

Jeden z nich pochyła się nad drzwiami, łakomie łowi dźwięki, tak trudne do odczytania i tak niepokojące.

– Może wypuszczają? Czy jak? Stuknij obok. Ściana nie odpowiada, milczy; nie stukaj teraz, mówi któryś, tam jest u nich klawisz, zaczekaj.

– Chyba idą do nas – mówi ten przy drzwiach i cofa się nieco, a blacha drzwi drga i odłamała się od niego; na okutym progu stoi mężczyzna i teraz mógłby się już oprzeć plecami o tę blachę, bo drzwi zatrzaśnięto za nim w mgnieniu oka.

On stoi nieruchomo i nieufnie wciąga w płuca nieznanome powietrze; w rękach trzyma tobołek, zawinięty w szary koc; na tobołku stoi niepewnie chybotliwa aluminiowa miska, w której jest aluminiowy talerz i pocięty wygrawerowany aluminiowy kubek; ścianki poryte są napisami, rysunkami nagich kobiet, datami, numerami artykułów i paragrafów, które łamały kolejnych właścicieli; skąd jesteście, pyta ten od drzwi.

– Różnie – odpowiadają zza stołu. – A ty?

– Ja jestem naukowcem. Przywieźli nas cały transport.

– Naukowców?

– Nie, nie, różnych, właśnie nas przywieźli, pełno. Długo siedzicie? – pyta niepewnie.

– No, to witaj, docent. Ta prycza jest wolna. Kładź mandżur i siadaj.

– Jaki mandżur?

– To, co trzymasz w rękach, to jest mandżur. Ten tobołek. Siadaj, odpocznij. A potem nam będziesz opowiadał.

– Ciepło tu – mówi wolno docent.

– A innych rzeczy nie masz? Poza skarbowymi?

– Miałem torbę z rzeczami. Od miesiący przygotowana. Wszystko, co trzeba. Pierwszy raz jej dzisiaj nie zabrałem ze sobą. I wzięli mnie z politechniki. A wy długo? ... tak siedzicie?...

– Niedługo, będzie pół roku.

Docent siada na pryczy; aluminiowa miska, wypełniona przedmiotami, brzęczy.

– A jak długo jeszcze będziecie...

Opiera łokcie na kolanach, a głowa skwapliwie skłania się ku dłoniom.

Oni milczą i czekają na niego cierpliwie.

– Już tak dobrze było ostatnio; wszystko się układało, taką dobrą fuchę złapaliśmy z żoną i już się dało jakoś dociągnąć do pierwszego; żona też pracuje w tym samym instytucie, a ja jestem adiunktem i jeden znajomy, który rzucił wszystko w cholerę i założył warsztat z metaloplastyką, dał nam świetną fuchę, takie kwiatuszki metalowe do malowania; jak ułożyliśmy dzieci spać, to żona główki, a ja korzonki pociągałem na zielono; szalona wprawa po paru nocach, szalona wprawa... wreszcie trochę odetchnęliśmy finansowo... jakieś nawet wakacje się zaczęło planować... od miesiący tę torbę miałem przygotowaną... cholerny świat...

Godzina zwolnień kończy się bezpowrotnie; ten który usłyszał swoje nazwisko, sięga teraz po aluminiowy kubek i stuka nim niecierpliwie o dno kubła.

– Od miesiący tę torbę miałem przygotowaną... szalona wprawa jednak... szalona wprawa...

Kraj obraz

... Taksówkarz przejeżdża koło swojego domu; jego kobieta stoi przed drzwiami; on ją widzi i zatrzymuje samochód i otwiera drzwi; kobieta czeka w milczeniu; na starość to się robisz taka nudna, że się rzygać chce; patrzy na nią z mściwą satysfakcją; pójde do fryzjera i dam sobie ufarbować włosy na kasztan numer pięć, krzyczy kobieta z rozpaczą i pewnością, że w ten sposób odmieni swoje życie; dupę sobie daj ufarbować na kasztan numer pięć, odpowiada łagodnie; ty, ty, a widziałeś ty babę z chujem; jaką babę, jaką babę, co ty gadasz; jak nie widziałeś, to zobacz swoje zdjęcie ślubne; ona zatrząskuje drzwi, a on rusza gwałtownie z miejsca; oboje będą mieli dobry dzień.

Dlaczego ten starzec pluje w twarz młodemu mężczyźnie, który go potrącił?

Dlaczego ta kobieta w ciąży, która bez kolejki usiłowała zdobyć ścierwo w mięsnym, wychodzi ze sklepu; łyżką kapią na sterzący brzuch, a słowa które za nią gonią, podcinają obrzmiałe nogi; by się nie kurwiła na lewo i na prawo, by jej nie zrobili bachora... by...

Dlaczego ten lekarz wykręca staruszce rękę i wypycha ją kolanem z gabinetu?

Nienawiść, jaką wyhodowano w ludziach tego kraju, nie pozwala myśleć; zaciekle wypatrywanie ofiar nie daje na myślenie czasu i rząd naprawdę nie musi już wymieniać tego narodu na inny...

Choroba więzienna

Nocna cisza stygnie w celi, na ścianach wędną nieruchome cienie.

Kratę w oknie porasta gęsta siatka, która chroni wnętrze i tłumi dźwięki; nie słysząc nie-nawistnego wilczura – miota się między cierniowym ogrodzeniem, a niebotycznym murem, zamalowanym białą farbą na wysokość więźnia z podniesionymi do góry rękami. Farba łuszczy się, obnażając poprzednie warstwy, gomułkowską i gierkowską; to więzienie jest młode.

Gorzkie gwiazdki, wykruszające się z wąskiej tasiemki nieba nie mogą się przeciskać przez stalowe oczka.

Za niskimi, metalowymi drzwiami słysząc skąpy szelest; klawisz podsłuchuje chwilę, a potem delikatnie unosi blaszaną powiekę lipka i zagląda; tam, w płaskim mroku, piętrzą się wysoko prycze, szara fałda koca spływa na podłogę, bieleje czyjaś dłoń, pogięty aluminiowy kubek wchłania mdły odblask zza szyby.

Gaśnie świetlista plamka wśród blachy drzwi, klawisz odchodzi dalej; nie będzie pominięty przy awansach.

On leży bez ruchu, głowę opiera na zmartwiałej ręce i już chyba chciałby zmienić pozycję, ale przesuwa tylko lekko głowę, osnuwając wzrokiem celę i teraz widzi kratę z woalką siatki, a dalej wysokie kolczaste ogrodzenie, za którym jest pas dokładnie zagrabionego pustynnego piasku i pies i ten mur, zamalowany białą farbą na wysokość więźnia z podniesionymi do góry rękami. Mur przeżarty jest badawczym światłem, w którym bezszelestnie opadają białe płatki farby...

On leży bez ruchu; cisza milknie, bo z baraku, niewidocznego przez tę kratę, toczą się teraz urywane głosy, przesiakają przez siatkę i odbijają się od ścian, słupów i załomów muru; to modli się wspólnie drugi barak; więźniowie otwierają wszystkie okna i w noc rozlewa się bezładnie bulgot niezrozumiałych słów, wśród których jak bańki wypływają i pękają strzępy pieśni, hymnów i przyśpiewek; więźniowie znów nie uzgodnili jednej wersji; ojciec – Boże, coś Polskę – jeszcze nie zginęła – nie rzucim – póki my – wieczne odpoczywanie – ksiądz Kasię gonił – skąd nasz lud orła wrona – odbierzemy – nocą wywlekani – ... po chwili targowisko modłów odpływa jak napuszona fregata i jeszcze tylko pojedyncze słowa łopoczą w siatce; pies umyka z podkulonym ogonem.

On leży bez ruchu; głowa osuwa się z ręki i on czuje naraz jak igiełki krwi mkną ku znie-ruchomiałym palcom, które wolno ożywają; on zaczyna poruszać palcami; przesuwa dłoń wśród fałdów koca i zahacza o jakieś strzępy papierów i kopert i grzbiety książek; ten kolor, który wyczuwa teraz dotykiem, jest chłodny i gęsty, ten kolor jest niebieski – to okładka notatnika, z którego godziny temu, podczas karnej rewizji, wydarto wnętrze. Okładki są teraz bez tych zapisanych kartek, ale jeszcze kłębią się wśród nich jakieś szczątki i ułamki zapisanych zdań i słów, lgną do nich; dwa światy; praktykantka sklepowa oblewa ludzi w kolejce oranżadą i ze śmiechem chowa się za pustymi półkami, nikt nie reaguje; w wielu gazetach doniesienia na temat niedźwiedzia, który pojawił się w Tatrach, jest pieszczotliwie nazywany misiem, a dla ekspresu donosi o nim specjalny korespondent, w polskim radiu audycja herbatka przy samowarze, Polewoj, naczelny redaktor Junosti, marzy o podróży na wschodnią Syberię, opowiada legendę o stworzeniu Syberii przez Boga, który pewnego dnia zmęczył się i wyrzucił tam z worka wszystkie bogactwa, opowiada też, jak Niemcy chcieli wysadzić klasztor na Jasnej Górze i zwalić to na Rosjan, jednak ci dowiedzieli się o tym szatańskim planie i dzięki Bogu, jak mówi Polewoj, uratowali klasztor; mężczyzna w sklepie wrzuca za

koszulę mrożoną gęś, nie wydasz, pyta sąsiada w kolejce; panie, oni muszą przyjść, jak dwa a dwa cztery, na pewno przyjdą, niech pan zapyta, kogo pan chce, i oni sami chcą, jak pierdalnie, to zostanie tylko kamień i woda, jak dwa a dwa cztery, oni muszą wreszcie przyjść, te Chińczyki; my kobiety przeciętne powinnyśmy być zawsze wesołe; źródłem zła w ojczyźnie jest przyzwolenie na kłamstwo, z testamentu Ryszarda Siwca z Przemysła, prawnika, żołnierza AK, który podpalił się na stadionie podczas przemówienia Gomułki na dożynkach, protestował przeciwko agresji na Czechosłowację; tysiąc osiemset ton mleka w proszku z Niemiec Zachodnich skierowano do więzień i domów starców z twierdzeniem, że zawierają szkodliwe hormony; okazało się, że instytut, który wydał orzeczenie, nie ma żadnych urządzeń do tego typu badań; Norwid gdzie energia wyprzedza inteligencję, tam co pokolenie jest rzeź; więzień kryminalny, bandyta, który teraz jest kalifaktorem, siedzi szósty rok, mówi, bardzo dobrze, że ten stan wojenny, wreszcie zacznie się porządek, ostatnio, to się człowiek w ogóle bał wyjść na ulicę; Marek, już zasypiając na pryczy, w półśnie, jak już będę w Kanadzie, to najpierw pójde do sklepu, a tam w sklepach wszystko można dostać i ja sobie kupię tak z kilo komunizmu i codziennie wieczorem tak przez godzinę będę to napierdalał młotkiem, do końca życia; te puste okładki notatnika; strzępy zapisanych zdań ulatniają się powoli, okładki stygną i twardnieją, a nad garścią wydartych kartek pochyla się teraz czujny tajniak.

On leży bez ruchu, zmartwiała ręka wolno dochodzi do siebie, mozolnie, jak po przebytej chorobie więziennej, ale głowa spoczywa bez ruchu; półopuszczone powieki; on widzi właśnie człowieka za kratami; to zawierucha ślepego światła znad muru wciska się przez okno i krata oblepia cieniem tego, który ostrożnie schodzi teraz z górnej pryczy, tak, by nie przebudzić inwalidy, śpiącego pod nim; już jest na podłodze, bo prycze, ustawione na przegniłych deskach, zaczynają falować i drgać; tamten podnosi pokrywą kubła, czerpie kawę i pije łączywie; zbawczy brom rozlewa się leniwie w żyłach; tamten zamiera i stoi bez ruchu i nasłuchuje i słyszy, jak na korytarzu więziennym trzaska klucz w zamku kraty, która odgradza ten korytarz od dyżurki; krata zapadła i klawisz już do rana nie będzie mógł jej otworzyć, bo klucz mu zabierają na noc; już nie pojawi się za tej kadencji na korytarzu; ten burzliwy dzień kończy się suchotniczym klekotaniem kraty; kiedy godziny temu wyprowadzano dwóch w kolejną nieznaną drogę, kilkuset mężczyzn aluminiowymi miskami zaczęło łomotać w kraty; ta orgia dźwięków, nieskończona, w milczeniu, które zakłóciła syrena więzienna, łkająca na alarm; ci, którzy siedzą od strony muru i nie wiedzą, co się dzieje na dziedzińcu, słuchają łączywie; rozedrgane miski milkną gwałtownie, a drzwi celi rozwierają się nagle i tłoczy się w nich gromada ludzi; w kaskach na głowach wyglądają jak motocykliści w drodze na wiejską zabawę; mały kapitan białą pałką dyryguje własnymi słowami; do tej pory tolerowaliśmy, ale teraz koniec z tym, wpierdolimy wam, koniec, spuścimy wpierdol i koniec, wszyscy wychodzić, już; łakome ręce na korytarzu obmacują ciała i targają ubrania, jakaś podkuta noga unosi się jak do kopniaka w brzuch, ale to tylko energiczny but zdziera z kogoś spodnie; ten człowiek stoi teraz nagi; słysząc czkawkę aparatu fotograficznego; jeden z motocyklistów odstawił pałkę i robi zdjęcia, inni wpadają do pustej celi i zasłaniają się drzwiami.

Potem to wnętrze jest obce i nieprzystępne. Wchodzą powoli, zatrzymują się; na pryczach kłębią się koce, ubrania, papiery i książki, nie ma już kawałka kabla i dwóch żyłek, które można było połączyć z przewodem żarówki i zagotować wodę; skrzydła szafy, która wyrzygała swoje wnętrze, rozłożone są bezradnie, po podłodze toczy się cebula. Te miejsca są teraz niezajome i najpierw trzeba się z nim oswoić, a dopiero potem, jak po przymusowej przeprowadzce, można mozolnie przywracać zapamiętane kształty.

On usiadł wtedy na pryczy, a potem złożył głowę w załomie ręki, a gdy przyszła noc, nikt z celi mu o tym nie powiedział.

Tamten zaszywa się na swojej pryczy i cichnie; przezroczysta żyłka światła zbiera migotliwe paciorki kurzu; on błądzi ozdrowiałą ręką wśród wydm koca; palce spotykają się z szelstem kartek, błakają się wśród tak dobrze znanych słów, że mogą odczytywać wypukłości

liter; co i jak mam ci napisać, rzadko bywam w Warszawie, strasznie jest w tym mieście, w innych tylko inaczej; mam poczucie, że bez tych spotkań na Przechodniej w geografii mojego myślenia przestał istnieć ważny punkt; czy chcesz jakieś książki, może angielskie; ucz się języków, bo inaczej oszalejesz; no więc Łopucha już dwa razy siadała do pisania do ciebie listu, siadła, pióro chwyta, papier na stole, a jakże, no i nic; myśli sobie, co by tu, co by tu i nic do głowy nie przychodzi; a teraz piję za twoje zdrowie, samopoczucie i sztukę Wyspiańskiego Wyzwolenie; tak trudno do ciebie pisać, bo nie wiem, jak się pisze do ludzi, którym źle, którzy nie mogą się wyrwać ze swoich myśli; i ciągle to pytanie, czy to, co robimy ma jakikolwiek sens; jednocześnie nadmieniam, że Komendant Stołeczny MO nie ma wpływu na działalność poczty, a tym samym na terminy doręczeń korespondencji; on siada na pryczy po raz pierwszy od godzin; najpierw zgarnia to wszystko, co go otacza, a potem wyławia ze sterty książki, koszule, listy, skarpety, pudełka zapalek, fotografie, ptasie pióra, sweter; to wszystko dokładnymi ruchami układa na starych miejscach, których dotąd nie mógł odnaleźć w pamięci. Potem wygładza koc, w fałdzie natrafia na papierosa, zapala go, cicho zsuwa się z pryczy i spokojnie odlewa się do kibla.

Siada przy stole, pali papierosa i strzepuje popiół przez lewe ramię za kratę.

On pali teraz papierosa, a potem sięga tam, gdzie stała zawsze pusta puszka i tam, gdzie zawsze leżała kostka margaryny; napełnia puszkę margaryną, sięga do szyi i od więziennej koszuli odrywa troczek, wtłacza go w margarynę i błyska zapalką. Puszka ożywia się nagle, jakby wyroiła się z niej zgraja świetlnych termitów; on sięga pod pryczę, tam, gdzie zawsze stało tekturowe pudło i odgradza nim pulsujące źródło światła od śpiących.

On siedzi przy stole; na pudle są jakieś egzotyczne nadruki; nazwa jakiejś paryskiej wytwórni, magazynu czy instytucji i adres i numer telefonu. Ulica Franco-Russe; on przypomina sobie tę ulicę z poprzedniego życia; przecznica od ulicy Rapp, ulica Francusko-Rosyjska; na niej powinien kończyć się gazociąg; pewnego dnia wypłynie z niego na Paryż czerwony syberyjski gaz i zadławi wszystkich żalonych głupców, którzy niczym nie zasłużyli sobie na to miasto.

On sięga po okładki, w których zawsze był notes; rozkłada je, milczy. Te strzępy zdań i słowa, zamknięte teraz bezpowrotnie w jego kartotece, pojawiają się, wracają, gromadzą się na powrót, są.

Jeszcze jedno wyciągnięcie ręki tam, gdzie zawsze leżała ta kartka i gdzie znów leży; z jednej strony jest zadrukowana – to spis rzeczy z austriackich paczek, które tu, między więźniami, rozdzielał Polski Czerwony Krzyż; Awstriacki Nacjonalny Komitet Pomocy (dla pomocy Polakom), darunki Awstriackiego Czerwonego Krzyża. Hygieniczny pakunek dla kobiet. 1 mydeko, 1 pasta do zębów, 1 proszek do prania, 1 szampo, 1 paczka dla higieny kobiecej, 250 gr. waty.

Odwraca tę kartkę, która zakwita teraz bielą, z kieszeni wyjmuje długopis i pochyla się nad kagankiem, tak, by blask nie olśnił szyby i nie ocucił strażnika, który ślęczy za plecami w wysokiej wieżycze nad murem.

Pochyla się.

Nocna cisza stygnie w celi, na ścianach więdną nieruchome cienie.

Kratę w oknie porasta gęsta siatka, która chroni wnętrze i tłumi dźwięki; nie słyhać nie-nawistnego wilczura – miota się między cierniowym ogrodzeniem a niebotycznym murem, zamalowanym białą farbą na wysokość więzienia z podniesionymi do góry rękami. Farba łuszczy się, odsłaniając poprzednie warstwy, gomułkowską i gierkowską; to więzienie jest młode.

Gorzkie gwiazdki...

Kraj obraz

... Ten dworzec jest obcy; strop ginie gdzieś na wysokościach, a kamienna podłoga ziębi stopy; nie ma tu pożegnań, pełnych nadziei, nie ma ulgi powitań.

Chytre oczka kamer bezczelnie zaglądają w twarze, głuche tunele łapczywie połykają ludzi, powietrze pulsuje miarowo.

Milczą zazdrośnie okienka informacji, ukradkowa kolejka przed kioskiem z gazetami, w którym panoszą się tytuły, Inie do muru; Karuzela, Kraj Rad, Mój Dom, Świat Głuchych, Polska, Życie Partii, Żywnienie Człowieka, Żyjmy dłużej, Sowietskaja Żenszczina, Skrzydlata Polska, Chów Bydła, Z pola walki, Literaturnaja Gazieta, Za i przeciw, Polska w języku rosyjskim, Tu i teraz, Problemy mira i socjalizmu, Głos lasu, Zrób sam, Sowietskije agni, Zdrowie psychiczne, Zdrowie Publiczne, Pokolenie, Trzoda chlewna, Razem, U przyjaciół, Wiedza obronna, Izwiestia, Poznaj Świat, Za wolność i lud, Intensywna terapia, Komsomolskaja Prawda; podkute buty szóstek, błyskających bronią, wystukują echo.

Ryk lęgnie się pod sufitami; wagony wypluwają watahy rezerwistów o zbielejących od wódki oczach; przewalają się, wczepieni w siebie, ogłupiali pozorem wolności i pokrwawieni w licznych bójkach; migoczą pstrokate chusty z wypisanymi datami, numerami jednostek i nazwami miejscowości; obawa przymyka oko patrolu, który niewidzialny sznurek przeciąga wzdłuż peronów; szedł do cywila, niejedna duuuupa płakałaaaaa, niesie się wycie; z rezerwistami, którzy już wypełnili swe zaszczytne grudniowe zadania, mieszają się grupy ogłupiałych od wódki poborowych; nie widzącymi oczyma próbują wypatrzeć swoje pociągi, które powiozą ich ku nowym rolom i zadaniom. Przyjeżdż mammo na przysięgę, zaproszenie wysłał szef, dziś mi granat urwał rękę, przyjeżdż, zobacz, twoja krew; ryczą pijane gardła; jakiś pociąg rusza, poborowy zwisa z okna, a smuga wymiocin faluje wzdłuż ściany wagonu jak błękitny welon; pijana dziewczyna rzuca się za tym welonem ze skowytym, gna, migotają sine łydy; ona wpada na słup trakcyjny i osuwa się po nim, zostawiając na betonie smugę łez, smarków i krwi...